

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2021/4

magazynhisteria.pl

Opowiadania

NA AUTOPILOCIE
O CZARCIĘ Z JEZIORA
POKUTNICY
SZKLANE OCZY
TIGREN

DZIADY CZĘŚĆ V.
DZIADY, KTÓRE NIE SPIEPRZAJĄ
(fragment)



SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
NA AUTOPILOCIE	Klaudia Sowiak	5
O CZARCIE Z JEZIORA	Wojciech Kryska	13
POKUTNICY	Dominik Kaniewski-Smulczyk	26
SZKLANE OCZY	Aleksandra Knap	35
TIGREN	Marcin Halski	45
Dziady część V. Dziady, które nie spieprzają	Mikołaj Kołyszko	57

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Zvyrke

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska

Korekta: Joanna Korytko

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

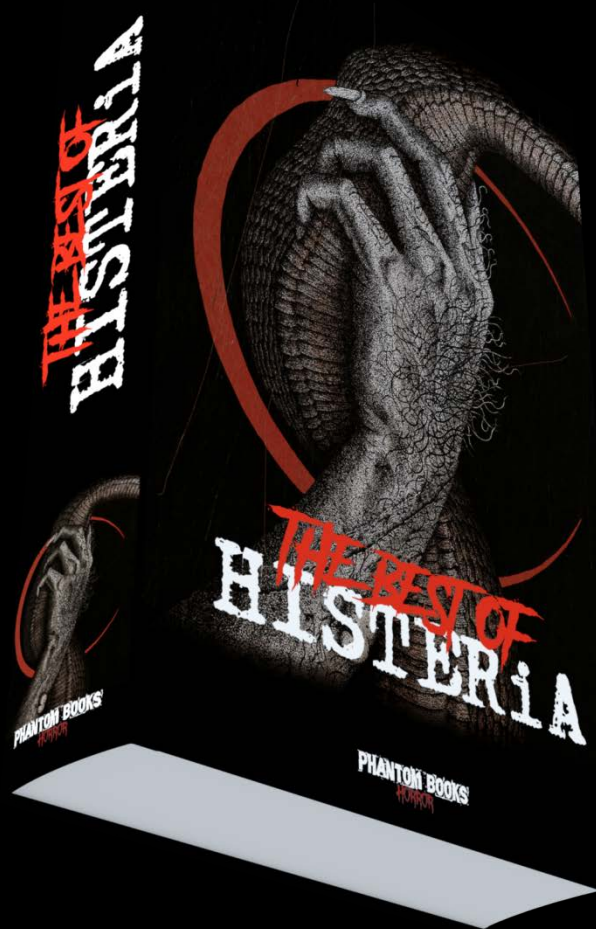
Przed Wami lipcowa Histeria, czyli 45. numer naszego magazynu. W środku znajduje się pięć opowiadań grozy, tyle samo niepokojących ilustracji, a także fragment pewnej gry paragrafowej.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad wrześniowym wydaniem.

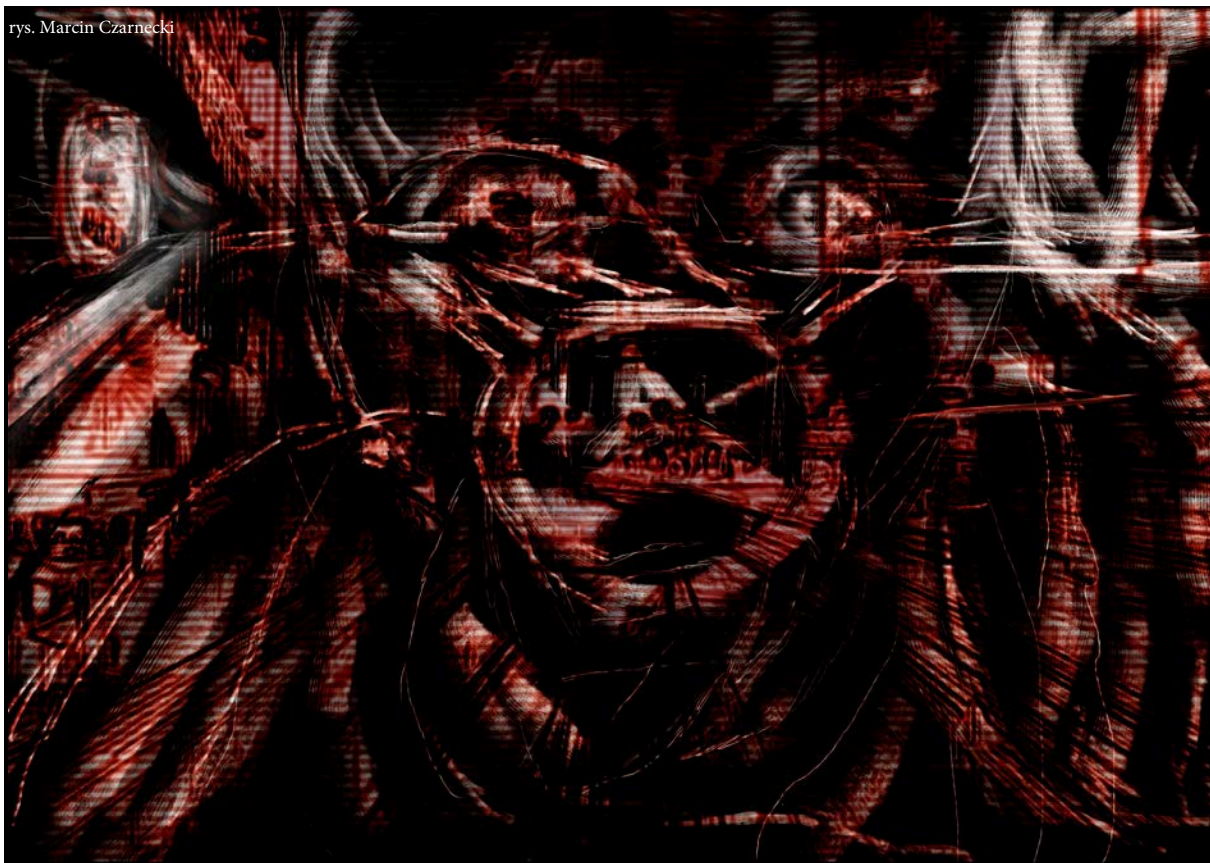


B. Jaworski i M. Zawadzki

ZBIÓR NAJLEPSZYCH
HISTERYCZNYCH OPOWIA DAŃ



SKLEP. OKOLICA STRACHU. PL



NA AUTOPILOCIE

Klaudia Sowiak

– Zobaczysz, najpierw zabierze nam przyjemność z jazdy, a później robotę – powiedziała Natalia, opierając nogi na desce rozdzielczej, kiedy nowoczesny system przestawił się na autopilota. Ciężarówka jechała drogą krajową, ciągnąc się za węzłem czerwonych podwójnych świateł.

– Ale przyznaj, że chociaż trochę ci się podoba – odpowiedziało radio. Mimo nowych technologii głośnik skrzypiał tak samo jak zwykle, ledwie łapiąc zasięg.

– Wcale mi się nie podoba. Sobie ledwo ufam, a co dopiero temu... czemuś.

Śmiech, który usłyszała, przypominał szczekanie.

– Uważaj, bo usłyszysz i się obrazi.

Wskaźniki wskazują, że powinna pani odpocząć.

– A w duuupie mam wskaźniki – stwierdziła Natalia do mikrofonu. – Nie będę spała, kiedy samochód jedzie sam.

– Rozsądnie. Właśnie miałem ci mówić, że kilku kierowców skarżyło się na zakłócenia na sto czterdziestym kilometrze. Weź to pod uwagę i przerzuć się na ręczne, okej?

– Najchętniej przerzuciłabym już.

– Och, nie przesadzaj. Może w końcu zobaczysz ten film, o którym ci mówiłem.

– Ten o samochodzie, który morduje ludzi?

– Urocza jesteś, Nat. Szerokiej.

– Szerokiej, Tymek. Dobranoc – odpowiedziała i wyłączyła radio. Wiedziała, że gdyby tego nie zrobiła, zegnaliby się jeszcze przez co najmniej pół godziny. Spojrzała na GPS. Do fragmentu drogi, o którym mówił Tymek, zostało jeszcze trochę czasu.

– No dobra – westchnęła. – A26, włącz ekran – poprosiła, rozkładając się wygodniej w fotelu. Przymrużyła oczy, kiedy w ciemności kabiny monitor rozbłysnął białym światłem. Przesunęła palcem po panelu i wybrała *Christine*. Filmy, które podsyłał jej narzeczony, zawsze były specyficzne, ale wiedziała, że nie da jej spokoju, dopóki nie obejrzy, chociażby po to, żeby powiedzieć, że był znośny. Zawsze wiedział, kiedy Nat kłamała. Rzucił jakimś żartem, na który ona uśmiechała się przepraszająco i była spalona.

W kabinie zrobiło się nieco cieplej. W normalnej sytuacji zatrzymałaby się na jakimś MOPie, wstała, poprzeciągała się, zrobiła kilka przysiadów. Teraz nawet postoje były ograniczone. Automatyczny system kierowania to nowość w korporacji, w której pracowała z Tymoteuszem. Zresztą tak się poznali. Oboje na podobnych trasach, rozmawiając całe noce przez CB-radio. A jednak z ich obojga to ona pierwsza miała zamontowany w samochodzie cały system.

Trasa nie była długa. Dziewięćset kilometrów, na razie na terenie kraju. Możliwe, że szef przyoszczędził i póki co system uwzględniał tylko polskie przepisy ruchu drogowego. Nie wnikała w to jakoś bardzo.

A jednak się bała. Bo prawda była taka, że na początku będą potrzebowali mniej kierowców, później mniej osób do rozładunków. Ostatecznie ich zwolnią. A oni z Tymoteuszem nie umieli nic innego. Może założą własną firmę transportową? Po to, by przygarnąć do pracy takich jak oni, którzy zostali wyparci przez technologię?

Film ją uspił. Dialogi były drętwe, główny bohater zwyczajnie głupi, a ona zmęczona. Normalnie to byłby jej czas na postój po ośmiu godzinach jazdy zarejestrowanej przez skrzynkę. Pewnie jechałaby jeszcze z pięć minut, szukając miejsca, gdzie mogłaby

bezpiecznie przemocować, skupiając uwagę na najdalszym punkcie drogi, żeby nie zasnąć. A tak w ciepłe kabiny zwinęła się w kłębek na siedzeniu i odpłynęła.

Ocknęła się po jakiejś godzinie, kiedy samochód podskoczył na wyboju. Przez pierwszą chwilę nie wiedziała, gdzie jest, i wpadła w panikę, widząc przed sobą kierownicę.

Podwyższenie poziomu kortyzolu. Czy mam włączyć muzykę relaksacyjną?

– Nie – odburknęła, trąc oczy. Spojrzała na GPS, zdecydowanie minęli sto pięćdziesiąty kilometr autostrady. Znajdowała się w strefie bez zasięgu, tej, o której mówił Tymeek. Próbowwała przejąć sterowanie na ręczne.

Odmowa dostępu.

– Słucham? – zapytała, naciskając ponownie sekwencję guzików na tablicy. Poczula lekką panikę, porównywalną do tej, gdy sięgając do torebki po portfel, nie mogła go wymacać.

Odmowa dostępu. Brak połączenia z chmurą.

– Gównno – wymamrotała. Na próbę poruszyła kierownicą. Auto nie zareagowało. Nacisnęła sprzęgło i hamulec. Zamiast oporu pod pedałami pojawił się zupełny luz.

– Tymeek? Tymeek, słyszysz mnie? – zapytała, włączając radio. Odpowiedziała jej seria szumów i trzasków. Być może próbował coś powiedzieć, ale nic z tego nie rozumiała.

Faktycznie, ten fragment drogi był problematyczny. Dwupasmówka zawęzła się do jednego pasa oddzielanego od drugiego kierunku ruchu metalowymi barierkami. Przed nimi jechał samochód osobowy.

Wsunęła ręcznie ekran i wpatrzyła się w drogę, próbując się nieco uspokoić. Nic złego się nie działo. Przecież nie wysyłaliby jej w drogę, gdyby wiedzieli, że system jest trefny. Musiał umieć reagować w każdej sytuacji. A to, że Tymeek powiedział, by przełączyła się na sterowanie ręczne, to pewnie tylko rada. Może ktoś przypadkiem przejechał kota? Albo zamiast muzyki relaksacyjnej dostał solidną porcję basów na uszy?

A jednak miała złe przeczucia. Trzymała kurczowo ręce na kierownicy, jakby miała choć przypuszczenie, że będzie mogła zareagować. Później pomyślała, że sama na siebie sprowadziła nieszczęście. Jej matka zawsze mówiła, że każdy pech jest przywoływany przez negatywne myślenie.

Widziała, jak przed osobówką jadącą przed nią wyskakuje sarna. Widziała, jak samochód hamuje. Jej ciężarówka nawet nie zwolniła. Natalia zacisnęła oczy w ostatniej chwili przed zderzeniem. Chwilę później powietrze uciekło jej z płuc, kiedy w kierunku piersi wystrzeliła poduszka powietrzna.

Przez jakiś czas było bardzo cicho. Przynajmniej tak się wydawało Natalii. Pianista jazzowy grał w najlepsze, tak jakby nie zauważył tragedii. Tego, że ktoś w samochodzie przed nią został zmiądzony.

A może nie, pomyślała. Może zdążył uciec.

Nie dopuszczała do siebie myśli, że nikt jeszcze nie uciekł ze zmiądzonego o beton auta, które pogięło się jak harmonijka. Powietrze uszło z poduszki powietrznej. System schował ją do środka, a ciężarówka jechała przed siebie, jak gdyby nigdy nic.

– Zatrzymaj się – powiedziała, czując, że głos odmawia jej posłuszeństwa. Próbowала jeszcze raz włączyć system kierowania awaryjnego. Bezskutecznie. – Zatrzymaj się, musimy udzielić mu pomocy.

Zauważyła, że szyba od strony, z której zmiądzili osobówkę, pokrywa się drobnym czerwonym zaciekiem. To musiało być dużo krwi. Jezuu, ile to było krwi, że trysnęła tak bardzo w górę?. Przymknęła oczy, czując, że kręci jej się w głowie.

– Zatrzymaj się – powtórzyła głośniej. Pomyślała, że może przez stres ton jej głosu się zmienił, a ciężarówka dlatego ją zignorowała.

Przewidziany postój za dwieście kilometrów u celu podróży. W razie problemów informujemy, że toaleta jest w tylnej części kabiny. Dostęp do lodówki i mrożonych napojów zapewniony przez cały czas trwania podróży. Moduł WiFi wyłączony. W razie problemów proszę o telefon do pomocy technicznej.

Jezu, pomoc techniczna. Mogła jeszcze spróbować chociażby wezwać karetkę. Próbowала dostrzec, przy którym słupku kilometrowym jest, żeby wezwać pomoc. Ciężarówka mknęła jednak jednopasmówką tak, że znaki przy drodze rozmywały się w jedną szarą plamę. Z lękiem spojrzała na licznik – dochodzili do stu kilometrów w terenie zabudowanym. Sięgnęła po telefon, mając nadzieję, że zdąży. Odpowiedział jej komunikat o braku zasięgu.

Wszystko w porządku – usłyszała z głośnika. Aż ją zmroziło. Zastygła w fotelu, czując, że wszystkie jej mięśnie sztywnieją. – Jedziemy do celu. Wskaźniki w normie. Podwyższony poziom kortyzolu i wyższe ciśnienie. Zalecam lekarstwo dostępne w schowku. Włączam program relaksacyjny.

Natalia patrzyła w przednią szybę. W to, z jakim impetem wchodzi z zakręty. Tuż przed nimi wyrósł kolejny samochód osobowy, niewielka Toyota. Zamiast ją wyprzedzić, kabina przygrzmociła w tył. Kierowca z przodu próbował wymanewrować, ale wpadł do rowu, ryjąc przodem auta w mokrej ziemi.

– Kurwa mać – zaklęła Natalia. – Zatrzymaj się, błagam, błagam, błagam.

...proszę powoli zwrócić uwagę na oddech. Wdech. Wydech. Niech spojrzenie stanie się miękkie, a mięśnie twarzy się rozluźnią.

– Co ty robisz, co? – jęknęła. – Jeżeli masz jakiś swój rozum, inteligencję, to błagam, zatrzymaj się!

Według moich obliczeń to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić. Moim celem jest dochować bezpieczeństwa kierowcy.

– Nie jestem bezpieczna! Jestem przerażona! Zabiłeś dwie osoby!

Wyliczyłem prawdopodobieństwo uniknięcia wypadku. Była to najlepsza możliwa opcja – wyjaśnił głośnik. A później usłyszała śmiech. Suche szczeknięcia zmodyfikowane przez elektronikę. Dotarło do niej, że wtedy, kiedy rozmawiała z Tymoteuszem, to nie on śmiał się w ten sposób. – *I wiesz co? Spodobalo mi się* – dodał głos tym samym elektronicznym tonem.

Kabiną zarzuciło, kiedy skasowali kolejne auto. Natalia złapała za uchwyt drzwi, kiedy zarzuciło ją na bok, a później bezwładnie opadła w fotel, uderzając głową o zagłówek. Chwyciła CB-radio, szukając odpowiedniego kanału. Mieli z Tymkiem swoją częstotliwość. Zresztą jakikolwiek kontakt byłby dla niej ratunkiem.

– Tymek? Tymoteusz? Jezu. Ja tu zaraz zginę! – krzyknęła do głośnika. I wtedy ktoś się odezwał.

– Halo. Gdzie jesteś? Co się dzieje?

Nat zakrztusiła się śliną, nie spodziewając się takiego obrotu sprawy. Głos nie należał do Tymka, ale też był inny niż elektroniczne dźwięki systemu prowadzenia.

– Halo? – zapytał ponownie głos.

– J... jestem – wykrztusiła. – Nie wiem gdzie. Jadę na Poznań. M... miałam wypadek.

– Przyjąłem. Poznań. Mówili mi, że ktoś jedzie i robi sobie z ciężarówki spychacz. Co się odpierdala?

– Ja... Słuchaj. System automatycznego prowadzenia to robi. Jest awaria. Nie mogę przejąć na ręczne – powiedziała Natalia. I w tym momencie poczuła, jak kierownica zaczyna reagować na jej ruchy. Zacisnęła drżące dłonie na skórzanym obiciu i nie zważając na nic, nacisnęła na hamulec, żeby zatrzymać się na poboczu. Nie czekając już na odpowiedź z CB-radia, zbiegła po schodkach, wywracając się na mokrą, gliniastą drogę. Gdy upadała, miała wrażenie, że samochód mlasnął. Chciała wierzyć, że to błoto pod jej kolanami.

Nie wiedziała, ile czasu siedziała w bezruchu przy rowie, zanim przyjechała policja. Wzrok miała wbity w zabryzganą krew i powgniataną kabinę. Ktoś do niej podszedł, coś mówił. Chyba kłócili się o to, czy powinni wsadzić ją w kajdanki. Ostatecznie pozwoliła się

wprowadzić do radiowozu, choć miała wrażenie, że światła jej ciężarówki mignęły, gdy tylko ruszyli. Przez moment wahała się, czy nie powiedzieć tego młodej funkcjonariuszce na przednim siedzeniu. Musiała to przecież zauważyć, kiedy poprawiała włosy, wpatrując się w lusterko zamontowane pod dachem samochodu. Zacisnęła jednak dłonie na podolku i zamknęła oczy, marząc, żeby to wszystko okazało się koszmarnym snem.

– Z... zawiadomcie Tymka – powiedziała dopiero w szpitalu. I była to pierwsza odpowiedź na miliony pytań zadawanych przez lekarza, a wcześniej też przez policjantów.

– Zawiadomiliśmy pani szefa. Miał wysłać kogoś, żeby sprowadził ciężarówkę do bazy – odpowiedziała policjantka. Dopiero wtedy Natalia zrozumiała wyraz jej twarzy – funkcjonariuszka patrzyła na nią jak na kompletną wariatkę. Odpowiadała spokojnie na pytania, tak jakby nie chciała jej sprowokować. Widać było jednak napięcie i to, jak zaciska dłonie. – Pani Natalio. Lepiej, żeby zaczęła pani współpracować. Sytuacja jest bardzo słaba. Ale chyba z dwojga złego lepiej jest spędzić resztę życia w więzieniu z możliwością zwolnienia po jakimś czasie za dobre sprawowanie, niż trafić na oddział zamknięty, prawda? Wspominała pani o Tymoteuszu. To pani...

– Narzeczony – odpowiedziała głucho. – To nie ja. System... oszalał. Nie mogłam przełączyć na sterowanie ręczne – zaprotestowała już bezradnie.

– Dostałam telefon od techników na miejscu. Czarna skrzynka pokazuje, że ciężarówka była na sterowaniu ręcznym od sto czterdziestego kilometra autostrady – odpowiedziała rzeczowo policjantka. – Adwokat jest już w drodze. Może pani poczekać z zeznaniami do jego przyjazdu.

– Jesteś pewien, że chcesz jechać akurat tym?

– Nie jestem przesądny, szefie – odpowiedział Tymoteusz, oglądając wyklepaną kabinę. Uszkodzenia nie były na tyle duże, żeby poszła na złom, a w obecnej sytuacji firmy liczyła się każda złotówka.

– Naprawdę, nie ma takiej potrzeby. Mamy zapasowe samochody.

– Sam pan mówił, że system jest niezawodny – uśmiechnął się Tymek. – Też chcę sobie go sprawdzić.

– Słuchaj. Dajmy to auto komuś z młodych, mniej doświadczonych. Popatrzą sobie na filmy czy coś. – Szef wbił ręce w kieszenie. Kopnął w koło ciężarówki jak pies znaczący teren.

– No chyba się pan nie boi – zakpił Tymek.

– Boję się. O twoją głowę się boję. I jakoś tak. Nieswojo mi na niego patrzeć. Może powinienem go zezłomować.

– Panie Tomku – westchnął Tymoteusz. – Ludzie od wieków mieszkają w miejscach, gdzie umierali inni. Sami leżą w szpitalach, gdzie śmierć jest na porządku dziennym. Nie widzę powodów, żeby nie jeździć ciężarówką, która spowodowała wypadek.

– No jak tam chcesz. – Przełożony klepnął mężczyznę po plecach. – No to szerokiej, Tymek. Bezpiecznie i prosto do celu.

– Jak zwykle. Jak zwykle – przytaknął Tymek, wdrapując się do kabiny.

Wyprowadził ręcznie auto z hangaru, a później przełączył się na sterowanie automatyczne. Rozłożył fotel. Z westchnieniem otworzył okno i zeskrobał paznokciem resztki rdzawego śladu z szyby.

Wskaźniki w normie. Moduł WiFi włączony. Proponuję kawę.

Tymek drgnął w pierwszym odruchu, zdziwiony mówiącym do niego systemem. Zaraz jednak uśmiechnął się smutno, zdając sobie sprawę, że już nigdy nie usłyszy przez CB-radio głosu Natalii. Coś za coś.

– Tak. Poproszę kawę – odpowiedział spokojnie.

Jechał bez przeszkód. Kiedy dojechał do sto czterdziestego kilometra trasy, miękko przełączył się na sterowanie ręczne. Czekał z niepokojem na ten moment, jakby spodziewał się, że ciężarówka jest przeklęta i uniemożliwi mu kierowanie.

Informuję o zakłóceniach w działaniu systemu. Moc sygnału – słaba.

– Czyli jednak mieli rację – mruknął do siebie Tymek. Przeciągnął się i zgłosił radio, mijając miejsce, gdzie zaledwie miesiąc temu Natalia wgniotła w barierkę parę narzeczonych, którym na drogę wyskoczyła sarna. Rodzina Nat przekazała mu wyniki badań biegłych. Podobno zasnęła za kierownicą niedługo po przejęciu sterowania ręcznego. Później była w szoku, straciła panowanie nad sytuacją. Mówiono też, że po tym, jak spowodowała pierwszy wypadek, uległa iluzji snu i wjeżdżała w inne pojazdy, próbując się obudzić.

Droga nużyła go. Próbował rozmawiać z innymi kierowcami przez CB-radio, ale na tym odcinku faktycznie zasięg był bardzo słaby. Nagle, gdy zbliżali się do miasta i przejazdu kolejowego, system odezwał się czystym, mechanicznym głosem.

Lubi pan zagadki?

– A dawaj – burknął Tymek, strzelając z karku.

Co jest korzystniejsze? Poświęcić życie i wjechać pod pociąg czy skręcić i zabić matkę z dzieckiem idącą chodnikiem?

Tymoteusz zobaczył, jak szlaban przed nim się zamyka. Próbował wcisnąć hamulec, ale ciężarówka nie zareagowała.

Na twoje szczęście ja znam odpowiedź.

rys. Roman Panasiuk



O CZARCIE Z JEZIORA

Wojciech Kryśka

Teraz psy nie szczekają zwyczajnie. To nie jest szczekanie zaczepne, głosowe oznaczanie swojego terytorium i wzajemne, stadne wspieranie. To szczekanie przepełnione jest strachem. Dosłownie zwierzęcym. To krzyk stworzeń zamkniętych siatkami ogrodzeniowymi, które nie mogą uciec. A może to moje złudzenia? Może psy szczekają normalnie, tylko mój spętany przerażeniem umysł dokonuje projekcji? Czy to ta mgła, która zmaterializowała się znikąd w ciągu kilkunastu sekund, mgła nieprzenikniona jak Otchłanie

Ozalryk tak wypacza dźwięki, że psi skowyt wydaje się tak dojmujący? Nie, chyba jednak nie. Właśnie pierwszy z psów, ten najodleglejszy, ze skraju wsi, przestaje szczekać, a jego głos zamienia się w skowyt i skomlenie. Inne psy aż milkną i zniżają swe głosy do skomlenia, aż znów wybuchną skowyt, gdy udręczony pies milknie. Teraz kolej na następnego, któregoś z nich.

Jedyna moja nadzieja w ciszy. Ciszy, ciemności i moście, który odgradza mnie od wsi. Przerzuconym przez rzekę starym żelaznym prześle, które kiedyś nosiło stare pociągi wypełnione węglem i górnikami. Rzeką cicho płynie kilkanaście metrów niżej, w oprawie wysokich brzegów porośniętych olchą toczy swoje brunatne wody. Tu, wysoko, jestem ja, most i trzymana w spoconych rękach górnicza zapalarka. No i ładunki przymocowane do mostu. Pewnie jest ich za dużo. Stary most zawaliłby się od połowy tego, co tam zamontowałem, ale nie mogę ryzykować. Most i rzeka to ostatnia moja linia obrony. Nie mam już dokąd uciekać. Mogę mieć tylko nadzieję, że w ciszy i ciemności mnie nie znajdzie.

Wszystko przez badania terenowe, które zorganizował świętej pamięci doktor Legutowicz w 2017 roku. To miała być zwyczajna wycieczka doktorantów ze swoim promotorem do zapadłej wioski na Roztoczu. Paprotnik Mały, tak się nazywała, miała być miejscem, w którym przez dwa tygodnie wypoczniemy wśród lasów i łagodnych wzgórz, a przy okazji zbierzemy trochę materiału naukowego dotyczącego śladów przedchrześcijańskich wierzeń na terenie dawnej Słowiańszczyzny.

Problem zawsze polegał na tym, że Słowianie byli ludźmi słowa, a nie pisma. Trudno powiedzieć, w co wierzyli, gdyż nie spisywali tego. Święte drzewa, chramy, drewniane bałwany – to wszystko zostało zniszczone. Książ, zwojów, które by można było łatwo ukryć, zwyczajnie nie było. Mozolnie, krok po kroku wydobywaliśmy wiedzę o słowiańskich kultach, oczyszczając ludowe opowieści, rekonstruując zagrzebane w ziemi rozbite garnce i nadpalone posążki. Tym razem miało być ciekawiej.

Paprotnik Mały to dziwna wieś zbudowana wzdłuż drogi, ale ta droga ma kształt z grubsza okręgu. Gospodarstwa położone są na zewnątrz tego okręgu, jakby każda brama patrzyła do wnętrza jakiejś dziwnej areny. Środek od zawsze był nieużytkiem średnicy około kilometra, wewnątrz którego pleniły się zarośla tarniny, a niemal pośrodku znajdował się stary gaj pełen drzew o powykęcanych groteskowo gałęziach, bardziej podobnych sękatym mackom niż prawdziwym konarom, pokrytych jakimiś grzybnymi naroślami. W tym gaju zawsze unosił się zapach rozkładu i gnijących liści.

Osobliwością tego miejsca był pewien obrzęd odprawiany przez miejscowych. Legenda mówiła, że w centrum zwyrodniałego lasu znajduje się sadzawka, która choć

otoczona jest gęstą trzcina, nigdy nie zarasta, z czego wywodzono, że jeziorko jest bezdenne. Fakt, że nie zamarzało nawet najsrozsza zimą, miał dowodzić zaś, że sięga jakiegoś rodzaju piekieł. Obrzęd był tyleż samo niesamowicie dziwny, co obrzydliwie prymitywny: oto trzech dorosłych mężczyzn brało cielaka lub dwie świnie i niosło do stawu, gdzie wrzucało go do wody. W tym czasie wszyscy mieszkańcy wioski stali przed bramami swoich gospodarstw, na skraju drogi, w pełni ubrani jak do podróży i śpiewali piosenki ludowe, obwołując się co jakiś czas. Ten obrzęd kończył się w momencie, gdy mężczyźni wyszli z lasu i wzniesionymi rękoma dawali znak, że wszystko przebiegło pomyślnie. Wtedy ci, którzy ich zauważyli, rozpoczynali szczególną pieśń w jakimś dziwnym języku, podchwytywaną przez cały krąg. Gdy pieśń się kończyła, wszyscy udawali się do swoich domów, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. Taki proceder miał tam miejsce dwa razy w roku, w czasie obu równonocy, i trwało to podobno od przeszło tysiąca lat, niezależnie od wojen i zawieruch historii, które podobno ze wsią obchodziły się nader łagodnie.

Przesąd zasadał się na tym, co jest oczywiste dla każdego minimalnie choć zaznajomionego ze źródłami folkloru – żeby obłaskawić jakiegoś czarta czy utopca. Rzecz jasna nie w smak to musiało być lokalnym przedstawicielom Kościoła. Pewne źródła twierdzą, że na początku 1673 roku lokalny proboszcz, Gaudenty Śliwiński, podjął zdecydowane kroki w celu odejścia od tych pogańskich przesądów, lecz niewiele wskórał. Najpierw, chcąc po dobroci nawrócić swoją parafialną trzódkę, zarządził obowiązkową adorację Najświętszego Sakramentu w dzień wiosennej równonocy. Cała wieś stawiała się w kościele, a na drugi dzień i tak przeprowadzili swój obrzęd, dokładając do cielaka jeszcze dwie kozy, a pieśni przebłagalne, jakie śpiewali, były dwakroć bardziej żarliwe niż zwykle. Radość z powrotu mężczyzn z lasu była największa od lat. Proboszcz srodze się zirytował i zagroził ekskomuniką każdemu, kto weźmie udział w jesiennym obrzędzie. Lud tamtejszy był cichy, lecz zacięty. Nikt księdza nie posłuchał i wieś w komplecie złożyła ofiarę z dwóch świniaków. Oczywiście proboszcz nie spełnił swej groźby, bo było niewykonalne, by ekskomunikować *en bloc* całą wieś. Pisząc listy do biskupa i działając na własną rękę, dwukroć sprowadził mocnych duchem kaznodziejów: w adwent rekolekcje przeprowadził franciszkanin, ojciec Stefan, a w Wielki Post – ojciec Bonawentura, uczony dziekan z samego Lublina. Wydawało się, że lud się już odwrócił od bluźnierczego obyczaju, lecz wiosną znów dwie świnie zostały zanesione do lasu. Tego już wielebny Gaudenty nie wytrzymał. Jesienią 1674 roku, nająwszy dwóch kozackich zbirów, wyposażeni w pałasze, muszkiety i pistolety, przedarli się przez luźny kordon wieśniaków, tnąc jakąś babinę i starca, którzy próbowali ich powstrzymać, i wtargnęli do lasu w ślad za ofiarnikami. Z lasu słychać było jakąś

szamotaninę, krzyki, nawet jeden strzał, ale po kilku kwadransach, w czasie których ludzie nadzwyczaj gorliwie śpiewali swe pieśni, luźnym kręgiem otaczając uroczysko, wyszli stamtąd mężczyźni, prowadząc cielaka z powrotem. Nie było potrzeby tracić zwierzęcia. Ani proboszcz, ani dwaj kozacy nie wyszli z lasu. Cała wieś potem przed kasztelańskim sądem pod przysięgą zeznała, że zbiry się we wsi pojawiły i z braku innego łupu obrabowały plebanię i uprowadziły księdza dobrodzieja. Biskup miał już większe problemy na głowie niż paprotnicka parafia i chętnie ją zlikwidował, dzieląc jej teren między trzy okoliczne i tym samym zjednując sobie ich proboszczów jako silnych stronników. Proboszcz parafii podbialeskiej, któremu przypadła osobliwa, kolista wieś, nie zważał na lokalne przesady, a przypuszcza się, że niektórym sam hołdował. Znany był z tego, że nie ingerował w lokalne układy, póki grosz płynął do skarboxy kościelnej. Toteż ani mu w głowie nie stało nawracanie lokalnych chłopów, zwłaszcza gdy właścianom sprzedał korzystnie budynek kościoła i plebanię, które oni prędko rozebrali na materiał budowlany do chlewików. I tak od 1683 roku o istnieniu kościoła we wsi świadczyły jedynie zarośnięte głógiem fundamenty. Odtąd mieszkańcy chodzili co tydzień do Podbiałej na msze, zaś dwa razy w roku do gaju pośrodku wsi.

Profesor Stanisław Legutowicz twierdził z całą stanowczością, że w Paprotniku mieliśmy do czynienia z czymś więcej niż zwyczajnym obrzędem ludowym. Po pierwsze, zwracał naszą uwagę, nie wystąpiło tu zjawisko przeniesienia i sublimacji, takie jak w przypadku obrzędu topienia marzanny. Nie wykonuje się jakiejś kukły lub innego symbolu, lecz prowadzi się żywe zwierzę lub zanoszą martwe. Ewentualnie używa się ciał ludzkich, jeśli tak interpretować legendę o księdzu Śliwińskim. Po drugie, kontynuował, rytuał zawierał w sobie element przygotowania do ucieczki, o czym świadczy sposób ubierania się w czasie oczekiwania na powrót ofiarników. Jedynym podobnym obrzędem jest obchodzona przez niejawną, ultraortodoksyjną sektę judaistyczną pewna wersja Paschy, która obejmuje literalne wypełnienie nakazów zapisanych w *Exodus*, ze znakowaniem odrzwi krwią oraz – właśnie – spożywaniem w pełnym ubiorze wyjściowym, jakby w przygotowaniu do ucieczki z Egiptu. Od razu można jednak tę hipotezę odrzucić, jako że ani zasięg tych sekt nie przekroczył gór Taurus, ani żaden inny element paprotnickiego rytuału nie wskazywał na źródła w paschalnej tradycji.

Ostatnim elementem, na który wskazywał nasz nieodżałowany promotor, była ta dziwna pieśń śpiewana na zakończenie obrzędu. I to była jedna z przyczyn, dla których udaliśmy się osobiście do Paprotnika. Według wszelkich przekazów etnograficznych była ona śpiewana w języku niepodobnym do słowiańskiego. Brzmienie miało być bardziej związane

z pniem ugrofińskim czy też tureckim. Obie te hipotezy, jako prawdopodobne, postanowiliśmy zweryfikować tamtej wiosny.

Przybyliśmy do Paprotnika we środę 15 marca 2017 roku. Doktor Wyszyński, bezpośredni współpracownik profesora Legutowicza, zorganizował nam noclegi w pięciu chałupach. Profesor spał u sołtysa, doktor pod numerem szesnastym, a nas, doktorantów, podzielono po chałupach po dwie osoby: Sylwia Olziańska z Marzeną Gajdą mieszkały razem, Piotr Zawistowski z Sergiuszem Oziemko w sąsiednim gospodarstwie, a ja z Romkiem Tymoszewiczem mieszkaliśmy kilka zagród dalej, u pewnej starej, zmierzłej babiny, której imienia już nie pamiętam. Wieś sprawiała odpychające wrażenie. Stare domy niczym grzyby obsiadły kolistą drogę wokół uroczyska. Część z nich była jeszcze drewniana, nieocieplona, o popękanych szybach i dachach bezwstydnie krytych połamanym eternitem. Zbudowania gospodarcze, jeśli były murowane, to uniknęły tynkowania. Drewniane stodoły zdawały się chwiać w posadach i chyba nie było we wsi żadnej, której ściany byłyby proste. Ten dom, w którym mieszkaliśmy, był ceglany, nieotynkowany, pokryty starą, zmurszałą dachówką, gdzieniegdzie pokruszoną. Na ściany wspinało się dzikie wino i jakiś rodzaj bluszczu, który dopiero puszczał pąki. Zarośla tarniny naprzeciw były bezlistne, podobnie jak widziane za nimi ohydnie powykręcane drzewa ofiarnego gaju. Nie wiem, czy był to wpływ pogody, tego ledwie ustępującego tu przedwiośnia nakrytego opończą chmur, czy też źródłem atmosfery powszechnej choroby i rozkładu były jakieś wyziewy znad uroczyska.

Ten śpiew usłyszeliśmy już pierwszego ranka. To znaczy nie wiem, czy była to ta sama pieśń co w czasie ceremonii. Podejrzewam, że nie. To brzmiało raczej jak dziecięca piosenka, może wyliczanka, lecz język, w którym nasza gospodyni to śpiewała, był zdecydowanie obcy Europie. To nie był żaden z języków ugrofińskich, jak myśleliśmy, ale nie zaliczyłbym go także do rodziny turkijskich. Sądząc z melodyki, wydawał się pochodzić z ligi języków altajskich, ale bliższy był grupie tunguskiej. Wydaje mi się, że przypominał ten dziwny język, w którym ewenkijscy szamani śpiewali zakazane inkantacje. A tu, pośród pól uprawnych południowo-wschodniej Polski, jakaś staruszka śpiewała sobie w nim piosenkę, zamiatając kurze łajno przed drzwiami.

Zapytałem ją o to, gdy jedliśmy z Romkiem skromne śniadanie w jej kuchennej, głównej izbie. Staruszka ofuknęła mnie za podsłuchiwanie, po czym oświadczyła, że ona na pewno nie śpiewała i wyszła, trzaskając lichymi drzwiami. Więcej nie pytałem.

Profesor prowadził negocjacje dotyczące udziału w obrzędzie. Okazało się, że sołtys nie jest tu osobą najważniejszą w tej materii. Owszem, obrali sobie tego Zygmunta Sochę za sołtysa, bo najlepiej się sprawdzał jako organizator życia wsi, ale w zakresie obrzędowym

najwięcej do powiedzenia miał stary Józwa Stańczuk. On od samego początku obstawał za niedopuszczeniem nas do ani do gaju, ani do obrzędu. Sołtys, profesor i doktor Wyszyński urabiali starego Józwę dwa dni prezentami i wódką. Sołtys już wcześniej został omamiony perspektywą przyjazdu turystów. Nam się zdało, że nic z tego nie będzie. Że miejscowi zbyt są zamknięci, by nas dopuścić dalej niż do stania w kręgu w czasie ofiary, a to było dla nas zbyt mało. Stańczuk zdecydowanie sprzeciwiał się prowadzeniu nas do gaju. Nawet w dzień przed czy po ofierze. Wcale nam tam nie pozwolił chodzić. I chyba to nas w końcu ubodło. No bo jak zabronić młodym ludziom wejścia do lasu? Zwłaszcza gdy nawet nie jest ogrodzony? Poszliśmy tam w sobotnią noc. W piątkę, bo Sergiusz został z Wyszyńskim w świetlicy, gdzie próbowali przekonać kilkunastu mieszkańców, głównie młodszego pokolenia, do rzetelnego wypełnienia jakiegoś kwestionariusza, a profesor... No to było oczywiste, że jemu nic nie możemy powiedzieć. Zdaje się, że pomysł wyszedł od dziewcząt. A dokładnie od Sylwii. Marzena jeszcze się krygowała, ale gdy Roman się zapalił do tego pomysłu, to nie chciała wyjść na tchórza.

Początkowo szliśmy po ciemku. I w ciszy. Posuwaliśmy się powoli między kępami tarniny i głogu, aż stwierdziliśmy, że możemy włączyć latarki. Dotąd towarzyszył nam tylko wyszczerbiony półksiężyc dający nikłe, blade światło, ledwo wystarczające, by nie wpadać na siebie nawzajem i omijać co gęstsze zarośla. Nie było żadnej ścieżki, ale też nie spodziewaliśmy się jej – wszak tylko dwa razy w roku ofiarnicy przynosili coś do lasu i wracali – to zbyt mało, by mogła powstać jakaś droga. Dotarliśmy do skraju lasu. Drzewa były na szczęście niezbyt gęste i podszyt także nie stanowił jakiejś nieprzebytej bariery. Brnąc w rozmięklej ziemi, między powykręcany, gruzłowatymi gałęziami, które w słabym świetle latarek miały wygląd jeszcze bardziej złowieszczy, dotarliśmy do miejsca, w którym las się przerzedzał. Pojawiły się splachetki zeszłorocznej trawy – blade, martwe, rozmiękle od wilgoci źdźbła. Do zapachu gnijących liści dołączył jeszcze jakiś inny, dziwnie gorzki, jakby niedawno rozlanej smoły. Przed nami wyrastał już szpaler trzciny, z czego wnioskowaliśmy, że jesteśmy blisko centralnego bajora. Co dziwne, okazało się, że w tej ścianie sitowia wycięte jest dość szerokie przejście. Ta przesieka porośnięta była jakimiś mchami i dziwnymi roślinami w rodzaju drobnolistnej koniczyny. Jej wykorzystanie przez ludzi podkreślało kilka omszałych, kruszejących od wilgoci trelinek. Lustro bajora było nieruchome w wątłym świetle księżycy, a smołowy fetor był tu zdecydowanie mocniejszy.

Nie wiem, kto rzucił do niego kamyk. Może znów narwany Romek? Chciał przestraszyć dziewczyny? Dość, że okazało się wtedy, że to, co braliśmy za lustro wody, zupełnie nią nie było. Kamień wpadł w jakąś maź o gęstości ściętego krochmalu. Piotr to

zauważył i krzyknął, żebyśmy popatrzyli. Do sadzawki poszybowała jakaś gałąź, która zatrzymała się na jej powierzchni i powoli została wciągnięta w głąb, co wyraźnie widać było w skrzyżowanych snopach ledowego światła. Śmiejąc się, uciszając wzajemnie i żartując, zaczęliśmy taplać butami w przybrzeżnej śluzowatej mazi i nurzać w niej ręce. Łaskotała w dotyku, pamiętam. Po kilku minutach, stwierdzając, że nic tu nie ma nadzwyczajnego poza samą substancją bajora, stwierdziliśmy, że musimy wracać do kwater, a jutro dwójka z nas przyjdzie tu nocą ze słoikiem, by zaczerpnąć „wody”. Jakże byliśmy błogo nieświadomi...

Jeszcze nie wyszliśmy dobrze z tarninowych chaszczki, gdy rzuciła się na nas banda osiłków i wykręcając nam ręce, także kobietom, zaprowadzili nas do wiejskiej świetlicy, gdzie już wrzało. Profesor i doktor starali się przekrzyczeć mieszkańców, którzy darli się wniebogłosy nie tyle z oburzenia na świętokradztwo, którego się dopuściliśmy, co w jakiejś zapamiętałej furii dotyczącej chyba sprowadzenia śmiertelnego niebezpieczeństwa na całą wieś i okoliczny świat. Było to tyleż przerażające, co groteskowe. W napiętej sytuacji dwa razy było już bardzo niebezpiecznie, gdy nerwy poniosły to Romka, to któregoś z miejscowych. Okupiliśmy to podbitymi oczami, sińcami, złamanym nosem Romka i podeptanymi w zamieszaniu okularami Sergiusza. Skończyły się te negocjacje całkowitym odcięciem się profesora od nas: oświadczył, że nic nie wiedział, że nie pozwoliłby na to, że nas napominał, że został przez nas oszukany. Pozwolono mu zostać do obrzędu. Nas wyrzucono jeszcze tej samej nocy, żegnając kułakami i kopniakami i rzucając nam groźby karalne dotyczące sytuacji, w których nasza noga miałyby się znów we wsi pojawić. Razem z nami wyjechał doktor Wyszyński.

Stary Józwa na tym „sądzie” pytał nas, czyśmy nie dotykali wody w stawie. Musieliśmy przysiąc, że nie. Musieliśmy. Bo czuliśmy, że nas już wtedy żywych by nie wypuścili... W sumie okazało się, że bez różnicy.

Profesor wrócił 22 marca, zły jak szerszeń. Mówił, że nie można z nami zrobić nic porządnie. Wyrzucał nam brak profesjonalizmu i poszanowania dla lokalnych obyczajów. Wydawało się, że coś ustalił, dowiedział się czegoś obiecującego, ale nie pisał o tym ani słowa. Niczego też nigdy nie odkryto w jego notatkach. Tydzień później zaginął. Znalaziono jego samochód na parkingu pod hipermarketem, gdzie zwrócił uwagę ochrony po tym, jak stał trzeci dzień w tym samym miejscu. Profesor rozplynął się w powietrzu. Oczywiście policja nas wypytywała, ale co mieliśmy jej powiedzieć? Że podejrzewamy mieszkańców kolistej wsi setki kilometrów stąd, którzy się mszczą w związku z praktykowaniem bluźnierczego kultu? Toż to temat dla Machena lub Lovecrafta, a nie do śledztwa policyjnego!

Następna zaginęła Sylwia, w czasie grilla na plaży przy jeziorze. A z nią Sergiusz, Piotr Zawistowski i kilkoro ich znajomych. Była impreza, palił się ogień, towarzystwo nieco hałasowało, ale w miarę kulturalnie – wszak to doktoranci elitarnej uczelni. Podobno nawet mieli gitarę. Nie wiem, czy ktoś z nich potrafił skutecznie na niej grać czy chodziło o hipsterskie pozerstwo. Tak czy owak – wszyscy zniknęli. Został tylko grill, przypalone jedzenie i gitara. Nikt nic nie widział. Dosłownie. Bo na jeziorze w tym czasie byli wędkarze, którzy z daleka słyszeli nadbrzeżną libacyjkę i z ich zeznań wynikało, że w pewnym momencie gwałtownie pojawiła się mgła. Tego słowa użyli – gwałtownie. W jednej chwili zrobiło się zimno, a tafla jeziora jakby zaczęła wrzeć. Cała powierzchnia pokryła się gęsto bąbelkami pary, która w okamgnieniu stężała w nieprzenikniony opar. Ta mgła była tak gęsta lub tak nienaturalna, że deformowała nawet dźwięki, które do nich docierały. Dopiero po kilku chwilach zorientowali się, że z brzegu nie docierają do nich już śmiechy i okrzyki zdziwienia, lecz są to wrzaski dogłębnego przerażenia, śmiertelnej trwogi i obłędu. Ale nic nie mogli zrobić, uwięzieni w białym niebycie, bez poczucia kierunku i opanowania dziwnym paraliżem woli.

Gdy mgła opadła, tak szybko niemal jak się podniosła, i odzyskali panowanie nad swą wolą, popłynęli udzielić pomocy do brzegu, z którego unosiła się smużka grillowego dymu. Ale na próżno. Nie było tam nikogo. Porozrzucone sprzęty i połamana gitara świadczyły o gwałtowności przebiegu zdarzenia. Koce były zmięte, potargane, piach rozkopany. Wszystko to świadczyło o walce. Ale kto ją stoczył? Gdzie podziali się imprezowicze? Jak to możliwe, że coś zabrało ponad dziesiątkę dorosłych ludzi, którzy przecież nie byli w stanie totalnego zamroczenia alkoholowego?

Policja postawiła hipotezę o zbiorowym utonięciu. Słaba to hipoteza, ale inne wcale nie trzymały się kupy. Oczywiście nie znaleziono żadnego z ciał. Śledztwo pewnie w końcu umorzą.

Byliśmy wstrząśnięci. Po trzech miesiącach od wizyty w Paprotniku połowa grupy miała status zaginionych. A druga połowa już przeczuwała, że należałoby uznać ich za zmarłych. Lub przynajmniej mieć nadzieję, że są martwi i nie spotkał ich los gorszy od śmierci. Oto nagle osobiście zrozumiałe stały się dla nas te mity, które z takim znudzeniem czytaliśmy z niewyraźnych fotokopii wykonanych z pojedynczych egzemplarzy spoczywających w bibliotekach bezimiennych kolekcjonerów. Były dla nas dotąd gabinetami osobliwości, utrwalonymi śladami cudzego obłędu, który nie przerażał ani nawet nie budził zdziwienia, lecz najwyżej znudzenie i rodzaj zde gustowania. Teraz jakoś zaczęliśmy rozumieć umysły, którym te imaginacje zdały się tłumaczyć ich doświadczenia.

Pamiętam, jak zadzwonił po mnie doktor Wyszyński, bym jak najszybciej się z nim skontaktowałem. Poszedłem do niego w godzinach konsultacji, które odwołał, gdy tylko potwierdziłem przybycie. W kontekście jego pasji nauczania był to zdecydowany ruch, który podkreślał, jak wielką wagę przywiązał do naszego spotkania.

Od samego wejścia zasypał mnie gorączkowym słowotokiem dotyczącym tego, co znalazł w jakimś rozszerzonym wydaniu Anisimowa lub Ksienofontowa, które przez przeoczenie uniknęło cenzury. Otóż jest tam opisana istota, która żyje w stojącej wodzie i żywi się ludźmi. Nie tyle ich pożera i trawi w sensie biologicznym, co raczej w sensie ezoterycznym, gdyż ta istota pochodzi z „dolnego świata” i dlatego ciał ofiar nigdy się nie znajduje. Znałem zagadnienia dotyczące pięter światów i świętego modrzewia, który w niektórych wierzeniach syberyjskich przechodzi przez trzy światy, łącząc je i umożliwiając przemieszczanie między nimi. Wyszyński dogrzebał się jakiegoś mitu dotyczącego czegoś w rodzaju tornasuka pochodzącego z dolnego świata, który potrafi żyć w stojącej wodzie w rodzaju stawów, bajor i glinianek porztopowych i wciąga ludzi – najchętniej – a z ich braku renifery, bobry i inną zwierzynę, do swojego świat, gdzie ich następnie pożera. Według autora – pokazywał mi te kserówki stron pokrytych rozmazaną grażdanką – objawem jego obecności jest gęstnienie wody. A gdy wychodzi na żer, potrafi wytworzyć mgłę, która odbiera wzrok i słuch.

Zdrętwiałem, gdy powiedział o tej gęstej wodzie. Zauważył to i zapytał, czy coś takiego zaobserwowaliśmy w sadzawce w Paprotniku. Z lekką niechęcią opowiedziałem mu, co zrobiliśmy tej nocy. Jak dotarliśmy do zbiornika wodnego, jak odkryliśmy, że woda nie jest normalną wodą i co robiliśmy dalej, włącznie z tym, jak Sylwia rzucała w nas pacynami krochmalowego śluzu. Najczęściej celnie, mimo ciemności. W tym momencie zobaczyłem, jak doktor się załamuje. To wyglądało, jakby uszło z niego całe powietrze. Zgarbił się nagle, oparł głowę na dłoniach i wbił w ścianę pozbawiony nadziei wzrok.

Powiedział, że wypierał to do tej pory. Że chciał w tym widzieć przekłamanie w tłumaczeniu z języka ewenkijskiego lub gilackiego, może wykwit czyjejs bujnej wyobraźni, ale moje słowa sprawiają, że jest w stanie uwierzyć już w każdy przejaw tego odrażającego obłąd. Mówiąc to, podsunął mi jeszcze jedną kserokopię pełną niewyraźnego druku. Ledwie rozpoznając kolejne bukwę, odcyfrowałem podanie opowiadające o tym, że każdy, kto dotknie śluzowatej wody, w której żyje istota, staje się dla niej celem polowania. A ona nie spocznie, póki jej nie pożre. I zmierzając do tego celu, może się pojawić w każdej stojącej wodzie.

Pożegnałem doktora w stanie jakiegoś oszołomienia. Mówiłem coś nieskładnie o oderwaniu mitów i legend od rzeczywistości, o stosowanych hiperbolach i błędach w tłumaczeniu. O zbiegach okoliczności i czymś tam jeszcze. Bełkotałem, byle uspokoić własny umysł. W sumie nie jestem pewien, czy się pożegnałem. Wtedy ostatni raz widziałem doktora Wyszyńskiego.

Zadzwoiłem potem do Romana. Okazało się, że Romanowi także opowiedział te wszystkie rzeczy. I Romek, z właściwą sobie zimną krwią i nonszalancją, wydedukował, że profesor Legutowicz zrobił to samo co oni. Gdy został sam we wsi, wymknął się ukradkiem do lasu i musiał dotknąć śluzowatej wody w sadzawce. W gruncie rzeczy to było do niego podobne – to było realizacją jego etosu naukowca. To, za co nas rugał potem, po powrocie, było tym samym, co sam musiał zrobić. Nie przeszkadzało mu to potem czynić nam wyrzutów. W gruncie rzeczy łajał nas o to, że samorzutnie i nieostrożnie zrobiliśmy to, czego sam też chciał dokonać. I chyba najbardziej wkurzył go fakt, że daliśmy się złapać. Przyznałem mu rację. To było spójne, pod warunkiem, że przyjęło się założenie istnienia tej dziwnej istoty – czarta z jeziora, mówiąc Kolbergiem.

Roman zadzwonił do mnie dwa tygodnie później. Był roztrzęsiony. Okazało się, że dzwoniła do niego Marzena. Wraciała nocą z Mazur i jadąc drogą krajową 63 obok Jeziora Stoczek, gdzie trochę wjeżdża się pod górę, nagle wjechała w gęstą mgłę i silnik odmówił posłuszeństwa. Gdy nie powiodły się dwie lub trzy ponowne próby jego uruchomienia, zadzwoniła, mocno przestraszona, do Romka i poprosiła o pomoc. Zważywszy na okoliczności i odległość, chodzić raczej mogło o wsparcie psychologiczne. Roman rozmawiał z nią przez jakiś czas, aż ona zaczęła mówić o dziwnych kształtach, jakie przybierają pasma mgły za oknem. Zaczął ją zaklinać na wszystkie świętości, by nie otwierała drzwi ani okien, ale ona powiedziała, że w świetle reflektorów widzi jakby kształt dziecka, które szamocze się w ni to mackach, ni to gałęziach, i ona wyjdzie mu pomóc. Wrzeszczał na nią, by tego nie robiła. Ona wyszła, cały czas mając włączony telefon. Podobno telefon był jeszcze przez chwilę czynny, gdy już przestała krzyczeć. Słyszał było dziwny dźwięk ssania i jakby gwizd. Ciała ani telefonu nie znaleziono. Mimo że światła wciąż działały, o stojący na jezdni pusty samochód uderzył godzinę później jakiś tir.

Kończąc tę rozmowę, poinformował mnie, że Wyszyński dzięki znajomościom w Petersburgu odkrył jakiś manuskrypt, w którym opisano pewien rytuał mający na celu skuteczne odesłanie czarta do dolnego świata. Takie odesłanie wiekuiste, odpowiednik uśmiercenia dla naszego świata. Powiedział jeszcze, że mówi mi to, bo jutro z doktorem jadą do Paprotnika Małego, żeby wykonać ten rytuał i gdyby coś się nie udało, to w jego biurze, na

górnjej półce na regale po lewej, znajdę fotokopie tego manuskryptu i dalej będę musiał sobie radzić sam.

Dostałem jeszcze od niego esemesa, że w całej wsi nie ma żywej duszy. Paprotnik Mały zupełnie opustoszał. I na tym kontakt się urwał.

Na policyjnym przesłuchaniu nic nie powiedziałem o tym esemesie. Nie pytali. Musieli wiedzieć, że wysłał go do mnie. A jednak zupełnie nie zwrócili na to uwagi, trzymając się kurczowo tego, że samochód znaleziono na parkingu przed dyskontem spożywczym w Kraśniku. Doktor Rafał Wyszyński i Roman Tymoszewicz otrzymali status zaginionych.

Znalazłem ten manuskrypt w papierach Romka. Nie trzeba być wielkim detektywem, by zrozumieć, że może i wieś opustoszała, ale jacyś kultyści zostali na straży i to oni zadbali o zniknięcie obu naukowców. Oceniam jako bardziej niż prawdopodobne, że w swej prymitywnej wierze uznali, że ofiara przebłagalna złożona z bluźnierców, którzy naruszyli święty spokój odrażającej istoty z bajora, będzie tym, co przywróci losy wsi na stare, zrozumiałe tory.

W tym wszystkim postawa doktora Wyszyńskiego jawi się jako heroiczna. Bo przecież on nie uczestniczył w naszej eskapadzie do śluzowatego bajora. Razem z nami został wygnany ze wsi. Potem mógł umyć ręce od całej sprawy, bo przecież czart z jeziora nie polował na niego. On się jednak zaangażował, pomagał nam, choć my nie wiedzieliśmy, z czym się mierzymy. A na koniec został – według wszelkich poszlak – złożony w ofierze tej ohydzie z obcej rzeczywistości.

Ja postanowiłem iść inną drogą. Po pierwsze – to jest pojedyncza istota. Owszem, nie pasuje ona do naszego świata, nie wiem, jak się przemieszcza, ale wiem, czego chce i czego się boi. Otóż, według pozostawionego manuskryptu, płynąca woda jest zabójcza dla tej istoty: rozpuszcza ją jak kwas. Do tego monstrum jest w dużej części materialne, przynajmniej w godzinie łowów. Stąd mój pomysł na pułapkę: stary, nieużywany, kolejowy most nad Bystrzycą. Nazwa rzeki jest nieco myląca, bo w tym miejscu płynie ona stosunkowo leniwie, ale ilość wody, którą toczy, winna być odpowiednia, by się tego czarta pozbyć. Jeśli faktycznie jest choć trochę materialny, to eksplozja połączona z fragmentami spadającego mostu winna być w dużej mierze destrukcyjna. A płynąca woda dokona dzieła zniszczenia. Prawda, jeszcze są gwoździe. Zgodnie z jakimiś opisami ładunków stosowanych przez terrorystów postanowiłem owinąć ładunki wybuchowe taśmą, którą przymocowałem także po garści gwoździ do każdego. Rozpędzone eksplozją szpikulce będą stanowić salwę dodatkowych pocisków w tym ognisto-żelaznym piekle.

Wiedziałem, że to się wydarzy szybko. Wybrałem pole bitwy. Maków położony jest między Bystrzycą, która po połączeniu z Piławą staje się sporą, silną rzeką, a stawami rybnymi, z których słynie. Rzeką wpada tu w rodzaj wąwozu o niewielkiej szerokości i wysokich, stromych zboczach. Przygotowałem sobie miejsce i ładunki. Byłem jako tako gotów.

Dwa tygodnie czekałem, właściwie nie śpiąc. Leki stały się moimi przyjaciółmi. Zgromadzona przy pomocy znajomego apteczka zapewnia mi jako taki rytm działania, który będę musiał potem pewnie odchorować. Jeśli będę żył. Ale tym będę martwił się później. Teraz muszę się tego czegoś pozbyć.

Oczywiście nie jest tak, że czekałem biernie. Wskazówki z manuskryptu podpowiedziały mi skuteczność pewnych odrażających, szamańskich rytów, które ponoć zostały przyniesione z dolnego świata i działały na tamte istoty niczym latarnia na śmę. Wykonałem je dwa razy. Dwie soboty pod rząd. Byłem nieco zaskoczony, że tak długo muszę czekać na tę istotę. Przecież mnie znała: wkładałem ręce do plugawej mazi w jej sadzawce. Dlaczego tyle czasu zwlekała?

Ale w końcu przyszedł dzisiejszy wieczór. Talizman z patyków i gałganków, wykonany zgodnie z zapisanymi wskazówkami buriackiego szamana, zadygotał. Rzuciłem się do okna. Mgła podnosiła się z ziemi, jakby ta kipiała śmietana. Wciągnąłem przygotowane ubrania i wybiegłem z wynajętego pokoju, ku zdumieniu moich gospodarzy. Nie zaprzyjaźniliśmy się, ale mimo to będzie mi ich szkoda.

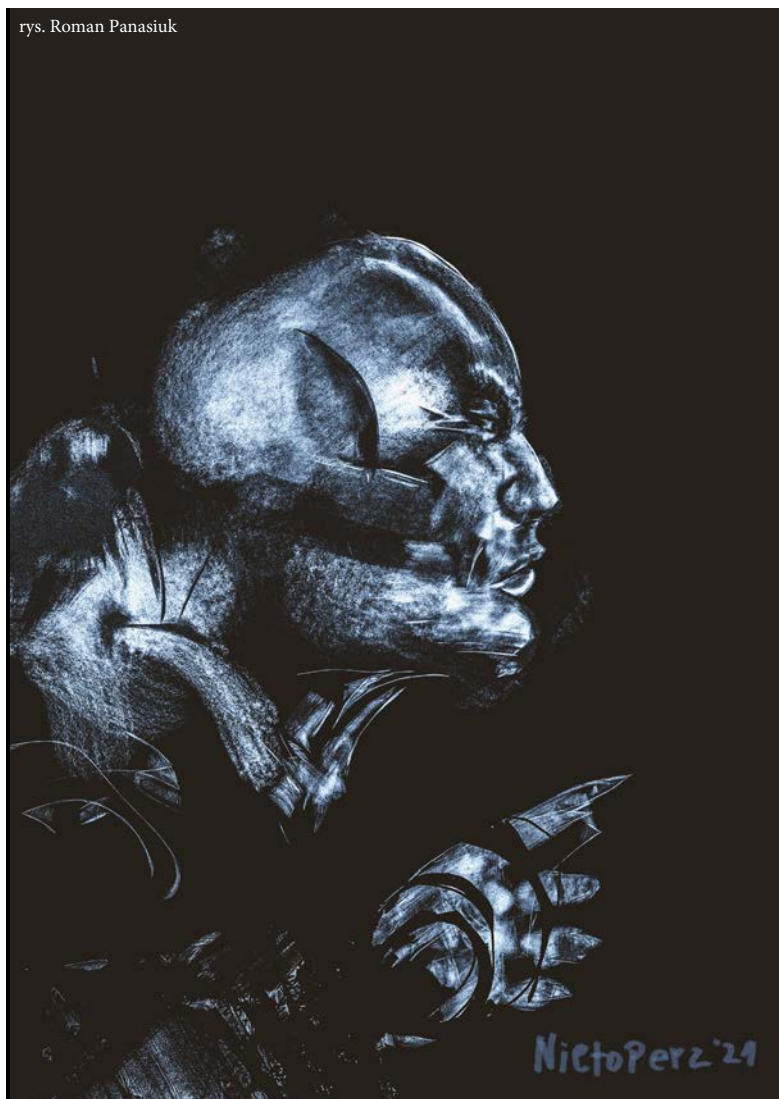
Ostatnie psy już umilkły. Słysząc jakichś ludzi, którzy krzyczą obłąkani ze strachu. Choć wszystkie dźwięki są zmienione. Nie tyle wytłumione, co jakies rozciągnięte i wibrujące pogłosami. Widzę, jak mgła dociera do skraju wsi i formując długą mackę wielkości pociągu, przesuwa się wzdłuż zarośniętych torów. Chwilę waha się i wpełza na most, zwalniając, co może oznaczać, że rzeczywiście czuje respekt przed płynącą wodą. Ale to nie na mgłę czekam, tylko na to, co w niej ku mnie zmierza. Słyszę zmodulowany chrzęst kamieni nasypu przed mostem, a potem czuję bardziej, niż widzę, jak coś wpełza na most z ohydny sykiem i dźwiękami ssania. Poruszając się zupełnie niepodobnie do jakiegokolwiek ziemskiego organizmu, może prócz jakichś zdeformowanych ośmiornic na oceanicznym dnie. Smród przypominający smołę, dokładnie taki jak w paprotnickim lasku, dusi i odejmuje trzeźwość. Pełźnie, czy też wije się przez środek żelaznego przęsła, gdy detonują ładunki.

W błysku ognia i huku eksplozji, w furii rozerwanego żelaza widzę zarys tej istoty. Boże, jakie to olbrzymie! Jest potworna! Nie można znieść jej widoku, a jednocześnie nie

można odwrócić oczu!... Most wali się w ciemności i mgle do wody, ta istota wydaje z siebie dziwny świergot, który jest jej wyrazem cierpienia... Boże!... Jaka ona jest wielka!... To... nie mogło się udać!... Czart?! Kto to tak nazwał?!... Ta istota... Może Doch mógł pomóc, ale już za późno... Nie mogę się ruszyć... Strach mnie obezwładnia... Pomiot dolnego świata... Spoza naszego kosmosu... Jakieś czułki czy macki... To nie dzieje się... To nie jest... Nie!... Pełźnie tu do mnie!... Już jest blisko... Już za późno... Przegrałem...

Ciekawe, czy będzie bolało?

rys. Roman Panasiuk



POKUTNICY

Dominik Kaniewski-Smulczyk

Siedzą we trzech. Stary Zdzich, Pijak Olek i Mruk Gerwazy. Siedzą i piją ze zniczy, których pełno na Zdzichowym grobie po dzisiejszej rocznicy. To już trzy lata jak prostoduszny Zdzich zamienił wygodne małżeńskie łóżce na ciasną, lecz piękną sosnową trumnę. Wspaniale prezentowała się na katafalku w cmentarnej kaplicy. Smukła, o jasnym odcieniu. A u jej stóp – wiązanki kolorowych kwiatów. Łza się kręci w oku na to

wspomnienie. Dlatego Zdzich stuka się szkłem z kompanami. Siedzą i piją. Zdzich i Olek nawet rozmawiają. Gerwazy nie. Gerwazy milczy, jak to Mruk. Mogilnik tonie w nieprzeniknionych ciemnościach. Zaduszki dopiero za miesiąc. Rezydenci cmentarza nie przepadają za swoim świętem. Zbyt tłoczno, zbyt gwarno i zbyt jasno nocą. Nawet nie można w spokoju się napić. Na szczęście przez większą część roku panuje tu cisza. Nie licząc brzęku uderzających o siebie zniczy.

Siedzą we trzech i piją.

Przy sąsiednich grobach także gromadzą się dusze. W towarzystwie czas oczekiwania upływa znośniej. Alejkami snują się zjawy, które są tutaj od niedawna. Niektóre złąknione, nie odchodzą od własnego miejsca spoczynku, jakby się bały, że nie trafią z powrotem. Pojawienie się nowych mieszkańców poprzedza kondukt żałobny. Bijące dzwony budzą dusze ze snu, by mogły przywitać zmarłego. Bo jak wiadomo, duch śpi za dnia, nocą zaś żyje. Tak jak teraz, gdy Stary Zdzich, Pijak Olek i Mruk Gerwazy siedzą i piją. Do świtu daleko, ale to dobrze, gdyż jeszcze wiele zostało do wypicia. Rocznicę godzi się uczcić należycie. Szczególnie rozumie to Olek. Olek podobną ideą kierował się w poprzednim życiu, co rychło przywiodło go do bram cmentarnych. Dziś picie nie czyni mu już szkody i jest z tego powodu bardzo szczęśliwy, choć on dusza pokutująca. Każdy wie, że pokuta nie na picu polega i do zbawienia nie przybliża. Niestety Olkowi chyba nie zależy na zmyciu swoich win i dobrze się czuje wśród grobów, gdzie zawsze znajdzie kompana od znicza.

Mruk Gerwazy znika nagle. Pozostali jednak tego nie zauważają, zajęci rozmową i Cmentarzówką. Mruk pozostaje im obojętny; nie znają historii jego życia, nie pytają, kim był, co robił i dlaczego się nie odzywa. Zachowuje się jak duch względem innych duchów, niewidzialny, jedynie ze znicza ubywa.

– Nie tęskno ci? – pyta Stary Pijaka.

– Za czym miałoby mi być tęskno? – zastanawia się Olek.

– Bo ja wiem. – Zdzich polewa. – Za żoną, za dziećmi.

– Nie – odpowiada bez namysłu. – Stara tylko dupę truła, o gorzałę rzecz jasna, a dzieci się na mnie wypięły, nim od ziemi dobrze odrosły. Nawet tu nie przychodzą. – Wskazał podbródkiem na swój grób położony gdzieś po drugiej stronie alejki.

– Bo mi tęskno.

– Za żoną.

– Za żoną.

– Dobra kobita. – Pijak kiwa głową w zadumie, przyglądając się zniczom i świeżym kwiatom w marmurowym wazonie. – Mimo swych lat przyszła dziś do ciebie, żeby zapalić światełko.

–Wypada liczyć, że to już niedługo potrwa – wzdycha Zdzich. – Jej żywot i mój czyściec. I że się spotkamy, tam w raju. Bo to, że tam trafi, nie ulega wątpliwości. Dobra kobita.

Wychylają następną kolejkę. Staremu zbiera się na sentymenty, więc Olek uzupełnia znicze.

– Jak tu przychodzi, mam ochotę jej dotknąć, pocałować. Powiedzieć, że nadal ją kocham. Pocieszyć, że tutaj wcale nie jest tak źle. Żeby się nie obawiała. Stoję obok niej i szeptam jej do ucha, lecz ona ani mnie nie widzi, ani nie mnie nie słyszy.

– Bo jesteś duchem – kwituje niezwykle odkrywczo Olek. – Ale podobno niektóre duchy potrafią nawiązywać kontakt z żyjącymi.

– Co z tego, skoro ja nie potrafię?

Dalszą rozmowę przerywa potężny grzmot, niby uderzenie pioruna, i niebo się otwiera. Cały cmentarz obraca twarze ku jasnej wyrwie ziejącej w czarnym aksamicie nieboskłonu, z której spiralą spuszczają się schody o szerokich i gładkich stopniach. Wkrótce u ich podnóża pojawia się czyjaś dusza. Zaczyna wspinać się ku górze. Wszyscy mrużą oczy, próbując rozeznaczyć, kim jest ten, którego właśnie wezwano na rozprawę Sądu Ostatecznego. Nieznajomy duch wchodzi wyżej i wyżej, aż wreszcie znika w blasku bijącym z fragmentu otwartego nieba. Schody rozpływają się w nocnym powietrzu, świetlista dziura kurczy się, czarna otchłań nieskończoności pożera ją. Mimo to wszyscy nadal patrzą w górę, by po pewnym czasie dostrzec na niebie spadającą gwiazdę, duszę, którą Sąd Ostateczny skazał na śmierć.

Mogilnik wraca do swoich zajęć, do swojego rytmu, do rozmów, do krążenia bez celu, do czekania i do picia wódki. Nikt, nawet Stary Zdzich i Pijak Olek nie wiedzą, że to gwiazda Mruka Gerwazego przeszła przestworza, bo też do końca pozostał on duchem dla duchów – niewidzialnym i nieobecnym. Niebyłym.

Stary Zdzich śpi snem płytkim jak jego grób. Budzi się wraz z drugim uderzeniem dzwonu. Wychodzi na świat. Jest pierwszy. Inni jeszcze się nie podnieśli. Z daleka, z głośnika, niosą się słowa modlitwy. Kondukt żałobny jest już w drodze. Nim wokół

okolicznych grobów zbiorą się ich mieszkańcy, z głębi alejki wylania się krzyż, a zanim reszta pochodu. Czterech drabów ubranych na czarno dźwiga trumnę. Chyba orzech. Przy trumnie idzie dusza, której ciało spoczywa na ramionach facetów z domu pogrzebowego. Wydaje się zalękniona, niepewnie odpowiada na powitania pokutników tworzących szpaler. W którymś momencie trumna skręca między pomniki, za nią grupa żałobników. Nie ma ich wielu. Zatrzymują się nad przygotowanym uprzednio miejscem spoczynku. Któryś z duchów, sąsiad nowoprzybyłego, obrusza się na widok własnego pomnika, całego w piachu i brudzie. Po ceremonii pogrzebnicy rozchodzą się pospiesznie do swoich spraw. Zostaje tylko kopiec ziemi i kilka wieńców.

Dusze wracają do przerwane go snu.

Cmentarz ponownie zapełnia się duchami po zmierzchu. Ciekawe spojrzenia szukają Nowego. Nie zszedł do grobu, odkąd tu się pojawił. Trwa przy świeżym kopcu jak pies przy budzie. Nadal sprawia wrażenie wystraszone go. Uderzenie nieba tylko pogłębia jego lęk. Z niedowierzaniem obserwuje schody łączące ziemię z czeluścią Sądu Ostatecznego. Sąsiedzi szeptem podpowiadają mu, co powinien zrobić. Nie wie jeszcze, że po odprowadzeniu własnego ciała na miejsce wiecznego spoczynku dusza czeka do zmroku, aż zostanie wezwana na posiedzenie. Niektórzy są zawracani schodami w dół, żeby wśród cmentarnych murów odbyć pokutę, innym ta szansa nie jest ofiarowana i zostają strąceni z Nieba pod postacią spadającej komety. Zdarza się również, że schody znikają, jasna dziura zostaje załatana czernią nocy, a w jej miejsce na nieboskłonie zapala się jeszcze jedno światełko, jeszcze jedna gwiazdka, i tak jest w przypadku Nowego.

Lśni na niebie i nigdy nie zgaśnie.

W Zaduszki leje jak z cebra. Duchy z rozbawieniem obserwują próby zapalania zniczy przez odwiedzających, śmieją się z wystrojonych dam wpadających w kałuże i z dostojnych panów, którym dmący wiatr chce zerwać z głów kapelusze i kaszkiety. Wszystko to wygląda bardzo obiecująco – nieprzychylna pogoda skutecznie przegania gości z cmentarza, zniechęca do dłuższych pogawędek nad grobami, do spotkań towarzyskich, dzięki czemu można w spokoju się napić.

Pijak Olek siedzi na pustej płycie swojego zapadającego się pomnika i czeka na Zdzicha. Zdzich jednak też czeka, na żonę. Olek nie sądzi, że przyjdzie w taką szarugę. Ale Stary ma nadzieję. Traci ją wraz z zapadnięciem zmierzchu. Dopiero wtedy dołącza do kompana. Nic nie mówi. Jest markotny. Nie pomagają tłumaczenia Olka.

– Ma swoje lata, nie miej jej za złe.

Zdzich nie ma jej za złe. Po prostu jest rozczarowany i smutny. Tęskno mu, cały czas mu tęskno i nic na to nie poradzi.

Niech to już się skończy.

Oczekiwanie jest jak robal gryzący twoje ciało dwa metry pod ziemią.

Kolejne dni po Zaduszkach przynoszą słoneczną aurę. Daje to Staremu powody do optymizmu. Sypia snem jeszcze płytszym niż zwykle, gotowy w każdej chwili wygrzebać się z dołu. Gdy tylko słyszy czyjeś kroki na powierzchni, zrywa się, jakby go na Sąd wołali. A że leży przy głównej alejce, często ktoś mija jego grób. Staje się nerwowy, dopada go bezsenność. Z czasem obawy niczym dżdżownice wślizgują się pod ziemię i nie pozwalają mu spać.

– Jakie obawy? – pyta którejś nocy Pijak Olek. Zdzich nie potrafi odpowiedzieć. Jakie obawy? Że coś złego przydarzyło się ukochanej żonie? Ale co?

Po tygodniu od Zaduszek pogoda się załamuje i wtedy Zdzich poznaje odpowiedź.

Kondukt żałobny brnie pod wiatr, a stalowe niebo grozi palcem. Wszystkie dusze zdążyły już się zbudzić, poza Zdzichem. Bo ten w ogóle nie spał. Udręka, jakiej doświadcza, każe mu spędzać długieienne godziny na apatycznych włączkach po uśpionym cmentarzu. Usłyszawszy dźwięk dzwonów, niespiesznie wraca na główną alejkę. Dociera do niej w idealnym momencie. Akurat żeby przeczytać nazwisko zmarłej na blaszanej tabliczce.

Pierwszy poryw radości natychmiast zastępuje ogromne zdziwienie, a zaraz potem do głosu dochodzi strach.

– Gdzie ona jest?! – krzyczy Stary Zdzich – Gdzie jest dusza mojej żony?!

Bowiem trumna sunie samotnie, bez asysty ducha, którego każdy przecież posiada.

Groźba nieba się spełnia i pierwsze płatki śniegu wirują listopadowym powietrzem.

Stary Zdzich płacze nad mogiłą swojej żony. Jest już kilka godzin po uroczystości pogrzebowej, na cmentarzu panuje biała noc, gdyż śnieżycy wzięła go w swoje objęcia. Duch małżonki ciągle się nie pojawia. Zdzich wierzył, że się spóźni, że może gdzieś się zagubił na rozległym mogilniku, ale gorączkowe poszukiwania z Olkiem u boku nic nie dały. Tylko martwa powłoka spoczywająca w zimnej ziemi.

Pijak niezmiennie towarzyszy przyjacielowi. Podsuwa mu znicze, które jednak nie są w stanie ukoić bólu. Przez gwizdzącą zamieć przebija się w głowie Zdzicha echo strzępów rozmów dwóch pudernic obecnych podczas pochówku.

– Zginęła pod kołami – szeptała jedna, gdy ksiądz kropił trumnę święconą wodą.

– Ponoć szła do kościoła pomodlić się za duszę męża – uzupełniała druga, gdy ksiądz sypał trumnę piaskiem.

– Została tam – włącza się trzeci głos, głos Olka. – Została za murami cmentarza.

Stary ogląda się na niego.

– Śmierć ją zaskoczyła – wyjaśnia. – Może nawet nie wie, że życie z niej wypłynęło i błąka się po świecie.

Zamieć opętuje nie tylko cmentarz, szaleje też poza nim, tam gdzie biedna dusza ukochanej Zdzicha szuka drogi do domu, by ogrzać się przy szklance herbaty i zmówić różaniec.

Nestor Julian wysłuchuje zgrzytot Zdzicha i kiwa głową w zadumie właściwej prawdziwym mędrcom. Z ciałem swoim rozstał się już tak dawno, że pomnik z lastriko, poszczerbiony i z licznymi odbarwieniami, zapadł się kiedyś, jakby go postawiono na bagnie. Tkwił koślawo, wcale nie majestatycznie, cichy i zapomniany. Aż w końcu w poprzedniej dekadzie został zlikwidowany, a jego miejsce zajął ktoś inny. Gdzieś głęboko pod tą ziemią spoczywają rozsypane w proch szczątki osiemnastoletniego chłopca. Bo choć towarzyszy Julianowi przydomek Nestora, to jego doczesne życie trwało krótko i skończyło się marnie. Z uwagi na długi staż pokutniczy Juliana duch dawnego młodzieńca cieszy się na cmentarzu powszechną estymą. Nestor czeka na Niebo, lecz dąży do tego celu bez zbędnej skwapliwości, wręcz wykazuje się anielską cierpliwością, sącząc namiętne cmentarne drinki od wielu lat, często w towarzystwie Olka.

Dzisiejszej śnieżnej nocy siedzą we trzech, piją i rozmawiają.

–Przed laty. – Gdy Stary milknie z rozpaczy, Julian rozpoczyna swoją opowieść. – Przed laty, pod osłoną nocy, przychodził na cmentarz pewien człowiek. Przychodził ze szpadlem i rozkopywał mogiły, przeważnie te nowe. Kopał, dopóki rant szpadla nie stuknął o wieko trumny. Wówczas wydobywał z jej wnętrza zwłoki, zimne i sine, ale jeszcze w niezłym stanie. Odzierał je z garniturów, kamizelek, żakietów i spódnic, odzierał do ostatniej skarpety, do ostatniej pończochy. Potem dymał nagie trupy w blasku księżyca i nie przeszkadzało mu nawet wylażące ze wszystkich otworów robactwo. Kiedy kończył, wrzucał splugawione truchło do dołu, pospiesznie zakopywał, przywracał grób do względnego porządku, otrzepywał ubranie z piachu, brał szpadel na ramię i znikał w mroku nocy. Pojawiał się na cmentarzu regularnie, profanował nasze ciała, a my nic nie mogliśmy zrobić.

Zdzych czuje, że musi się napić. Opróżnia znicz. Nie pomaga. Nestor kontynuuje.

–Pewnego razu zabawił się z ciałem młodej kobiety, której dusza na szczęście świeciła już na Niebie i nie musiała być świadkiem tej grozy. Lecz wśród obecnych wtedy pokutników był duch jej ojca. Pragnął dołączyć do córki. Niestety po tamtej nocy zapragnął mocniej czegoś innego. Zemsty. Był gotów porzucić marzenia o Niebie, o spotkaniu z córką, o wszystkim. Wybrał drogę zemsty, która wiodła przez cmentarną bramę do świata, którego przestaliśmy być udziałem. Gdy ktoś próbuje zaburzyć ten prosty ład, wrócić tam, gdzie nie ma już dla niego miejsca, musi liczyć się z pokłosem swej decyzji. Ojciec zbezczeszczonej dziewczyny przestąpił bramę i nigdy już nie wrócił. Wrócił za to człowiek z łopatą, tym razem bez łopaty, a z rzeźnickim nożem. Błady jak trupy, które wykopywał. Przerażony. Rozdygotany tak bardzo, że z trudem utrzymywał w dłoniach nóż, gdy wbijał go sobie w brzuch po samą rękojęść. Krew płynęła wartko, a on nie próbował ratować ani kropli. Tylko drżał z potwornego zimna, leżąc u stóp grobu młodej kobiety, która z łagodnym uśmiechem patrzyła na to wszystko z fotografii w kształcie serca przyklejonej do głowicy. Po wszystkim spadł deszcz i zmył świeżą krew z chodnika, spieniona czerwona woda popłynęła wzdłuż krawężnika. Nie wiadomo, jak ojciec dziewczyny zmusił człowieka ze szpadlem do odebrania sobie gównianego życia, musiał go srogo przerazić. Niestety zapłacił za swoje poświęcenie cenę, której wysokość jest niewyobrażalna zarówno dla nas, jak i dla ludzi po tamtej stronie bramy.

– Dlaczego opowiadasz mi tę historię? – nie wytrzymuje Zdzych. Ma już za sobą następne dwie kolejki polane przez Pijaka.

– Na wypadek, gdybyś zechciał wyruszyć na poszukiwania swojej małżonki. – odpowiada Julian. – Żebyś wiedział, na co się decydujesz.

Stary milknie na chwilę, jakby przyłapany na gorącym uczynku.
– Skąd myśl, że chciałbym opuścić cmentarz? – odzywa się wreszcie.
Julian uśmiecha się nieznacznie.
– Nie bez powodu nazywają mnie Nestorem.

Następna noc potwierdza trafność Julianowego przydomka. Nestor z racji swojego doświadczenia zna się na duszach, na ich pragnieniach, słabościach i Stary Zdych nie stanowi wyjątku. Stoi teraz przed żelazną bramą ze sterczynami kłującymi czarny nieboskłon. Między pobliskimi grobami gromadzą się pokutnicy, jedni zaciekawieni, drudzy zaniepokojeni. Pijak Olek znajduje się najbliżej Starego, z dwoma zniczami w rękach – własnym i Zdychowym. Z oczu ciekną mu przezroczyste łzy, które rozcieńczają alkohol.

Stary przetacza ciężkim spojrzeniem po mogilniku, po zebranych i wie, że widzi ich po raz ostatni. Na koniec patrzy na Olka, w jego wyjątkowo trzeźwe, lecz wykrzywione bólem lico. Wznoszą pożegnalny toast.

Stukają się zniczami po raz ostatni. Po raz ostatni wypijają Cmentarzówkę. Również po raz ostatni wymieniają parę słów.

Stary odwraca się plecami do Olka, do Nestora, do całej pokutującej wspólnoty, do pograżonych w ciemnościach mogił. Do Nieba.

Gdy przekracza Bramę, chlupanie Olka zostaje w innym świecie.

Po drugiej stronie Bramy czuć jedynie ból, cierpienie i rozpacz.

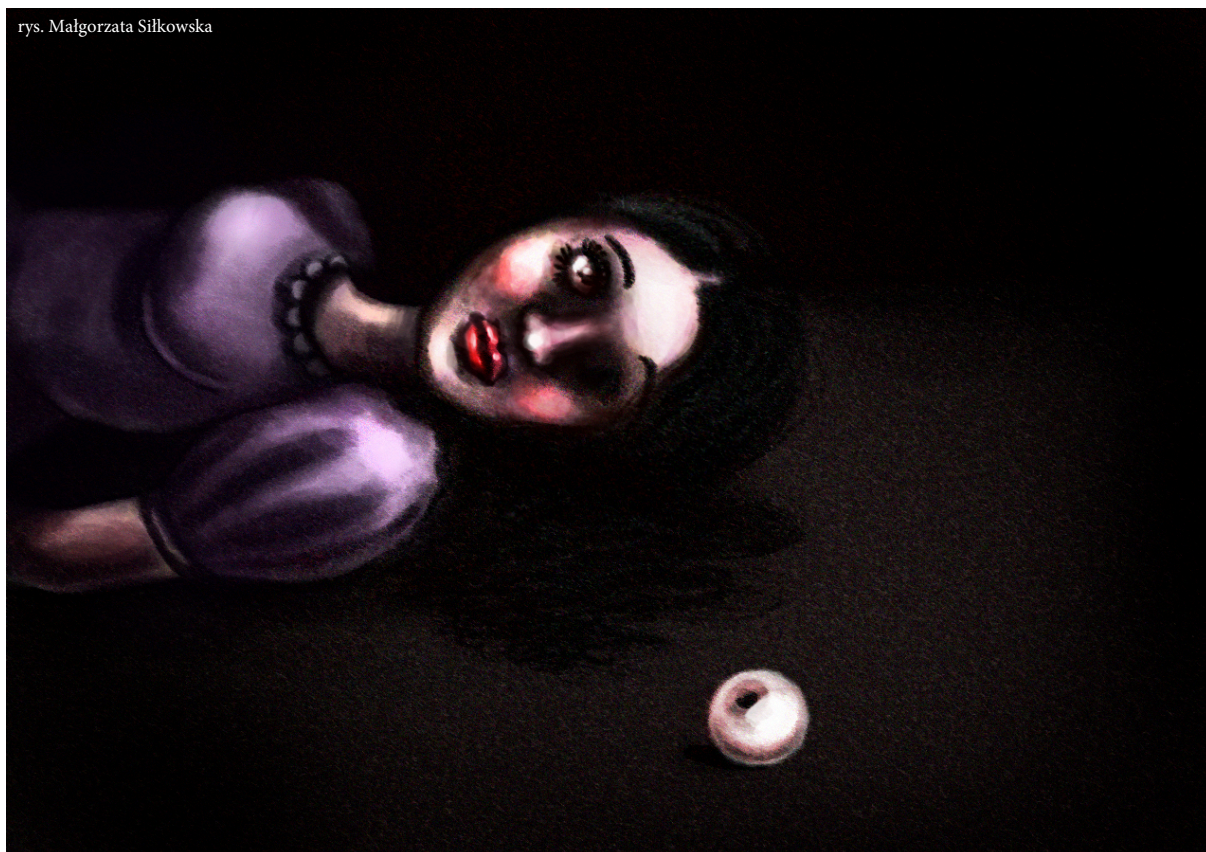
Zdych ogląda się przez ramię, ale cmentarza już nie ma. Zamiast niego zionie w ziemi jeden wielki krater, grób zdolny pomieścić zwłoki wszystkich ludzi pomarłych od zarania dziejów. Stary wie, że to, co za nim, już nieistotne. Tego już nie ma i nigdy nie było. Liczy się tylko świat, który przed nim. A przed nim jest wszystko i nic.

Gałęzie drzew, przywodzące na myśl powykrzywiane reumatyzmem ramiona starej wiedźmy, uginają się pod ciężarem wisielców niby pod mnogością dojrzewających owoców. Pod skarłowaciałymi i rachitycznymi krzewami gniją kloszardzi, którzy nie znaleźli lepszego miejsca na zgnicie. Wygłodzone psy, z perfekcyjnie zarysowanymi żebrami pod cienką skórą, tocząc pianę z pysków, walczą na śmierć i życie o bezpieczne kończyny

poniewierające się to tu, to tam. Na ciemnym niebie zamiast gwiazd lśnią trupie czaszki. Dokoła krążą blade obłoki, zlatują się do Zdzicha, okrążają go. Stary próbuje przegnać je rękami, ale oto okazuje się, że rąk też już nie posiada i nigdy nie posiadał. Uświadamia sobie, że jest jeszcze jednym obłokiem, postrzępionym i słabym, jeszcze jedną zjawą, duchem bez kształtu, bez celu, bez nadziei. Po chwili potępińcze zmory rozlatują się w swoje strony.

W oddali rozlega się przeraźliwe wycie. Tak nie potrafią ryczeć ani ludzie, ani dusze. Tylko demony. Odgłosy nie cichną, niosą się echem po krainie śmierci. Kilka trupich gwiazd spada z nieba.

Gdzieś w otchłani tego świata błąka się dusza biednej Zdzichowej, która może się boi, a która może nie pamięta już, co to strach. Stary Zdzich, który nie jest już Starym Zdzichem i nigdy nim nie był, będzie jej szukał już zawsze i nigdy nie poniesie klęski, bo gdy ma się przed sobą całą wieczność, ma się wszystko i nic.



SZKLANE OCZY

Aleksandra Knap

Gabi zniknęła.

Właścicielka zagubionej lalki zajrzała do plecaka. Pusto. Wytrzeptała mokry ręcznik w nadziei, że nieopatrzenie ją przykryła. Gabi nigdzie nie było.

Gałęzie krzaków kaleczyły dłonie, nagrzane kamienie parzyły stopy, gdy dziewczynka podążała wzdłuż brzegu, przeczesując każdy zakamarek. Panikowała.

Lalka musiała wpaść do stawu.

Dziewczynka kucnęła, wpatrując się w gładką taflę. Ujrzała swoje odbicie, a następnie wodorosty oplatające porcelanową lalkę, która dryfowała w głębinie. Gdy wyciągnęła rękę, by ją chwycić, czarne kosmyki zanurzyły się w wodzie.

– Kamila! – krzyknęła kobieta, biegnąc w stronę córki.

Brunetka zdążyła unieść głowę, gdy kolana ześlizgnęły się ze stromego głazu. Uderzyła prawym policzkiem o ostrą krawędź.

Wymachiwała kończynami. Ciecz przedostawała się do gardła, uniemożliwiając złapanie oddechu. Stopa zaplątała się w trawę. Kamila próbowała zerwać krępujące więzy, by wypłynąć na powierzchnię, ale zabrakło jej sił.

Nagle zrobiło się zimno.

Dziewczynka pragnęła ogrzać zmarznięte ciało. Potrzebowała źródła ciepła.

Przejeżdżam palcami po czarnych lokach, które w dotyku przypominają ludzkie włosy. Wstążka w odcieniu pudrowego różu idealnie współgra z kolorem sukienki. Spod falban wystają białe rajstopy oraz beżowe półbuty.

Wpatruję się w szklane oczy. Obserwuję niebieskie rogówki skierowane w stronę okna, a następnie nietypową lewą brew z rosnącymi do góry włoskami. Zatrzymuję wzrok na porcelanowej twarzy oszpeconej przez wypukłą bliznę na prawym policzku.

– Jest do mnie podobna – szepczę przez zaciśnięte gardło, zakrywając dłonią szramę. Siostra muska palcami moją dłoń. Wie, że to jedyna forma czułości, na którą możemy sobie pozwolić.

Urodziłam się z podwyższoną temperaturą ciała, wynoszącą trzydzieści siedem i pół stopnia Celsjusza. Zjawisko typowe dla niemowlaków powinno unormować się wraz z kolejnymi latami. W moim przypadku tak się jednak nie stało.

Lekarze przeprowadzili szereg badań, które niczego nie wykazały. Nie choruję, nie mam żadnych innych dolegliwości. Funkcjonuję normalnie, pod warunkiem, że nie dopuszczam do gwałtownego wzrostu temperatury. W związku z tym w upały unikam słońca, ukrywając się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Piję wyłącznie letnią herbatę. Nie pozwalam sobie na fizyczny kontakt z drugą osobą.

Ostatnie wyrzeczenie boli najbardziej. Rodzi tęsknotę. W dodatku za czymś, czego nie dane mi było doświadczyć.

Co roku wyczekuję zimy, wtedy mój organizm zdaje się stabilniejszy. Gdy oddycham mroźnym powietrzem, czuję przyjemny chłód.

– Tak, jest piękna. – Laura uśmiecha się z wahaniem.

Dostrzegam w jej oczach wyrzuty sumienia.

– Gdzie ją kupiłaś?

– Zamówiłam przez internet. Chciałam, by na podstawie zdjęcia z dziesiątych urodzin stworzyli lalkę wyglądającą zupełnie jak ty.

– Jednak się różnimy... Moje brwi są symetryczne...

– Tak, wiem, ale myślę, że do niej pasują... – Robi pauzę i rozgląda się po pokoju. – Gdzie ją położysz?

Przy ścianie znajduje się regał kupiony z myślą o przechowywaniu książek, jednak zamiast nich półki zajmują porcelanowe lalki. Maria to szatynka w zgniłozielonej sukience. Rudej Pauli zawsze zakładam żółtą kreację. Blondynka Sara ma wadę produkcyjną. Jej słabo osadzone oko samoistnie wysuwa się z oczodołu. Kilkukrotne próby sklejenia nie przyniosły rezultatu. Szklana niebieska kula ląduje na podłodze w najmniej spodziewanych momentach.

Wszystkie lalki posiadają pewną cechę wspólną: idealnie gładkie twarze, Ustawiam je tak, by patrzyły w stronę okna. Kilka razy dziennie sprawdzam ich ułożenie. Jeśli któraś się zsunie, natychmiast ją poprawiam. W przeciwnym wypadku odczuwam niepokój. Wiercę się na łóżku, nie mogąc zasnąć.

Obsesyjne myśli zdominowały codzienność. Któregoś dnia zwolniłam się wcześniej z pracy, kierowana przekonaniem, że Maria spadła na podłogę. Gdy wróciłam do domu, okazało się, że moje obawy były bezpodstawne.

Biorę do ręki nową lalkę, zupełnie niepasującą do pozostałych. Brunetka jest tak samo szpetna jak ja. Nie może siedzieć na regale. Kładę ją na wiklinowym fotelu umiejscowionym między biurkiem a szafą, w której oprócz swoich ubrań przechowuję także sukienki dla lalek.

Lubię nadawać im imiona. Dzięki temu stają się bardziej ludzkie.

Spoglądam na właścicielkę czarnych loków, zastanawiając się, jak powinnam ją nazwać.

– Kamila – wydobywa się z ust Laury, która wydaje się czytać w moich myślach.

– To twój pomysł? – pytam zaskoczona.

– Ta...aak – duka, wyraźnie zmieszana.

– Dobrze, w takim razie niech będzie Kamila.

Krzyżuję ręce i pocieram dłońmi ramiona, czując, jak pokój wypełnia zimne powietrze.

– Cieszę się, że przyjechałaś. Nie widziałyśmy się od dawna. – Gdy do moich uszu dobiega przeciągłe gwizdanie, unoszę czajnik i zalewam herbatę. Pamiętam, że Laura gustuje w liściastej z miętowym aromatem.

– Postanowiłam wykorzystać zaległy urlop i wrócić w rodzinne strony.

Wyczuwam w jej głosie zdenerwowanie.

– To dobrze, odpoczniesz. W przychodni pewnie macie urwanie głowy. – Siadam za stołem naprzeciwko siostry. Odstawiam herbatę, której spróbuję dopiero, gdy wystygnie.

– Jak zawsze. Będą musieli poradzić sobie beze mnie przez kilka dni. – Laura drżącą ręką wsypuje cukier do filiżanki. Kryształki lądują na blacie, a następnie rozsypują się po podłodze.

– Denerwujesz się czymś? – pytam z troską.

– Nie, przepraszam. Po prostu jestem zmęczona, pójdę się położyć – wypowiada przyciszonym głosem, pocierając palcami czoło.

– Jasne, zaprowadzę cię do sypialni.

– Nie... – Łapie mnie za ramię. – Jeśli to nie problem, wolałabym spać w salonie.

– W salonie? Nie wygłupiaj się. W łóżku będzie ci wygodniej niż na sofie.

– Nie, nie, wszystko w porządku. – Uśmiecha się blado, po czym zerka na schody prowadzące na piętro.

– Jak wolisz. Tylko przyniosę ci koc.

Wchodzę do pokoju. Dopiero gdy upewniam się, że twarze wszystkich lalek skierowane są w stronę okna, mogę położyć się do łóżka. Opadam na materac, dostrzegając Kamilę siedzącą na fotelu. Przekręcam się na drugi bok i niemal natychmiast zasypiam.

Budzik dzwoni o szóstej czterdzieści. Otwieram oczy, czując, jak moim ciałem wstrząsają dreszcze. Koc leży na podłodze. Prostuję rękę i wyłączam alarm w telefonie.

Przykładam dłoń do ramy okiennej, sprawdzając jej szczelność. Promienie słoneczne padają przez szybę na parapet. Kulę ramiona. Chłodne powietrze rozchodzi się wzdłuż kręgosłupa aż do barków.

Odwracam się w stronę regału z lalkami i zamieram. Wszystkie twarze zwrócone są w stronę siedzącej na fotelu Kamili, a mój porcelanowy sobowtór spogląda na rozłożony na środku pokoju koc.

Gdy otwieram bramkę i wchodzę do ogrodu, na trawnik spadają płatki śniegu. Wysuwam otwartą dłoń, pozwalając im topnieć na skórze. Unoszę głowę, spoglądając w niebo. Zeszłotygodniowa, wręcz upalna majówka nie zapowiadała nawrotu zimy.

W mojej sypialni pali się światło. Zauważam zarys sylwetki siedzącej na parapecie, jednak zamiast długich blond włosów siostry dostrzegam czarne loki.

Z impetem otwieram drzwi.

– Laura?! – wrzeszczę, wbiegając do środka.

Śliskie kafle sprawiają, że tracę równowagę i uderzam plecami o twarde podłoże. Jęknięcie przebija się przez panującą w domu ciszę. Łapczywie chwytam powietrze, dostrzegając obłoki pary wydobywające się z ust.

– Laura? – Podpieram się na łokciach, próbując dźwignąć obolałe ciało. Gdy przykładam dłoń do podłogi, palce sztywnieją, a skóra zaczyna szczypać. W końcu ból staje się nie do wytrzymania. Z trudem odrywam rękę od posadzki.

Wstaję, przytrzymując się ściany. Odnajduję kontakt i po chwili wewnątrz rozjaśnia światło. Dopiero wtedy dostrzegam skutą lodem kałużę.

Z łazienki wynurza się Laura, wycierając włosy ręcznikiem.

– Jak w pracy? Zrobiłam zapiekankę, masz ochotę? – Stoi przede mną z wypiekami na policzkach, ubrana jedynie w koszulkę, podczas gdy ja trzęsę się z zimna.

– Tak, z przyjemnością zjem. Tylko najpierw pójde się przebrać – charczę, czując drapanie w gardle.

– Wszystko dobrze? – Laura przykładła palce do mojego czoła. – Jesteś lodowata!

Odsuwam się gwałtownie.

– Zaczął sypać śnieg. Widocznie zmarzłam... dziwne uczucie... muszę się położyć.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie, poradzę sobie. – Mijam siostrę, po czym kieruję się w stronę schodów.

Z trudem pokonuję kolejne stopnie. Mroźne powietrze przedostaje się do płuc. Naciśkam klamkę i wchodzę do pokoju. Kamila siedzi na parapecie z głową zwróconą w stronę szyby.

Chwytam lalkę tak gwałtownie, że aż podskakują czarne loki. Gdy zaciskam palce na ramieniu, zdaję sobie sprawę, że bije od niej ciepło. Na porcelanowej twarzy widnieją rumieńce.

Oblizuję spierzchnięte wargi. Zaciskam zęby, próbując zapanować nad drżeniem szczęki. Otwieram szafę i kładę Kamilę w rogu między butami.

Skostniałe palce sprawiają ból, gdy próbuję je rozmasować. Kopniakiem zatrzaskuję drzwi szafy. Przemarzłam. Nie jestem w stanie ściągnąć ubrań. Opadam na łóżko, zarzucając na siebie koc.

Budzę się ze zdrętwiałymi kończynami i wygiętym w łuk kręgosłupem. Otacza mnie ciemność. Gdy próbuję się podnieść, głowa uderza o drewnianą płytę. Z trudem prostuję nogę w kolanie. Podeszwa buta napiera na drzwi, które otwierają się z hukiem. Wschodzące słońce oświetla wnętrze szafy. Dopiero wtedy dociera do mnie, gdzie się znajduję.

Gdy wypęlam na podłogę, oblodzone kosmyki uderzają o deski. Zamierzam wstać, jednak napięte mięśnie nie pozwalają utrzymać równowagi. Opadam z sił.

Materac wydaje ciche skrzypnięcie. Przekręcam szyję na tyle, na ile pozwala mi zeszywniały kark. Na łóżku dostrzegam różową sukienkę oraz czarne loki ułożone na poduszce.

Okrutny żart. Wybucham nerwowym śmiechem. Dźwięki wydobywające się z ust przypominają krzyk rozpacz. Milknę dopiero, gdy podeszwy beżowych półbutów uderzają o podłogę.

Mroźne igielki przeszywają całe ciało. Mimo to wstaję i chwytam Kamilę za włosy.

Pokonuję schody, po czym wbiegam do salonu. Koc leży na sofie, natomiast Laura stoi przy oszronionym oknie, wpatrzona w czerwony wschód słońca.

– Gdzie kupiłaś lalkę? – Jeszcze mocniej zaciskam palce na czarnych pasmach.

– Poślizgamy się? – Zagaduje siostra, ignorując pytanie.

– Co takiego? – parskam.

– Po zamrzniętym stawie, jak kiedyś.

– Nie mam zamiaru wchodzić na lód i dobrze o tym wiesz – cedzę przez zęby.

W dniu moich dziesiątych urodzin, gdy stałam w oknie i wyczekiwałam gości, siostra wyciągnęła z szafy łyżwy.

– Chodź na ślizgawkę – wyszeptwała.

Chwilę później stalowe ostrza przecinały zamrożoną powierzchnię. Cienka płyta ugięła się pod naszym ciężarem, wprawiając w ruch zgromadzoną pod nią wodę.

W pewnym momencie straciłam równowagę i upadłam. Przejechałam kilka metrów na brzuchu, po czym zatrzymałam się na środku stawu. Zdażyłam krzyknąć do stojącej na brzegu Laury, że wszystko mam pod kontrolą, gdy usłyszałam trzask. Na tafli pojawiły się pęknięcia.

Próbowałam wstać, dźwigając się na łokciach oraz podpierając kolanami, ale gwałtowne ruchy sprawiały, że kra zanurzała się w wodzie, a wraz nią moje dłonie oraz końcówki czarnych loków.

Zastygłam bez ruchu, odliczając sekundy, kiedy czubek nosa obmyje fala. Wpatrywałam się w przerażoną twarz odbijającą się w płycie. Wtedy wśród wodorostów zauważyłam porcelanową lalkę. Po raz pierwszy poczułam zimno. Szron pokrył włosy i brwi. Przedramiona przymarzły do tafli.

Prawy policzek przeciął piekący ból. Czerwone krople zabrudziły krajobraz. Kątem oka dostrzegłam zakrwawione łyżwy Laury i wyciągniętą rękę. Gdy chwyciła moje lodowate ramię, poczułam ciepło.

Siostra zdjęła bluzkę, by zatamować krwawiącą ranę. Wzywała pomocy, gdy zmierzaliśmy do domu. W pewnym momencie przystanęła i odwróciła się w stronę stawu. Dłonie Laury zaczęły drżeć. Z coraz większą siłą obejmowała mnie ramionami. Zwolniła uścisk dopiero, gdy krzyknęłam z bólu.

Siostrę dręczyło poczucie winy. Spuszczała wzrok, nie mogąc patrzeć na moją szpetną twarz. Wcale nie miałam jej tego za złe, ja też nie potrafiłam. Chociaż nigdy nie rozmawialiśmy na temat nieszczęśliwego wypadku, Laura zaczęła kupować mi prezenty. Porcelanowe lalki.

Nie zamierzałam sprawiać siostrze przykrości, więc przyjmowałam je z udawaną wdzięcznością. W rzeczywistości miałam ochotę zrzucić właścicielki idealnie gładkich twarzyczek ze schodów.

– Myślę, że jednak wejdiesz... – Laura odwraca głowę.

– Nie zamówiłaś jej przez internet, prawda? – Gdy robię kilka kroków do przodu, mrowienie rozchodzi się wzdłuż prawej dłoni. Tej samej, w której trzymam Kamilę. Palce zaczyna pokrywać szron. Ręka sztywnieje, przybierając nienaturalnie białą barwę. Czuję, jak odpływa z niej krew.

– Nie. Sama do mnie przyszła. Potrzebuje tego, co ty masz w nadmiarze... – Laura marszczy brwi. – Dasz jej ciepło, w zamian Kamila sprawi, że będę mogła cię przytulić.

– Niby w jaki sposób? – rzucam.

– Nie bój się... wszystko będzie doo... dobrze – zapewnia, starając się zapanować nad drzeniem głosu. Nie jestem pewna, czy chce uspokoić mnie, czy siebie.

Nie mogę rozluźnić uścisku. Palce przymarzły do włosów. Staram się wyszarpać czarne loki, chwytając je drugą ręką. Wkładam w tę rozpaczliwą czynność wszystkie siły, które mi pozostały. Tracę ciepło.

– Nie rób tego... Nie zmarnuj swojej szansy – błaga.

– Nie chcę takiej szansy – syczę. – Zimno mi...

Biorę zamach. Lalka z hukiem ląduje na podłodze, a wraz z nią kawałki skóry z palców. Siostra sprawia wrażenie zaskoczonej. Gdy porcelanowa głowa roztrzaskuje się o deski, stojąca nad nią Laura bierze głęboki wdech. Pochłania ulatniającą się z Kamili zawartość.

– Chodź na ślizgawkę. – Jej twarz wykrzywia grymas uśmiechu.

Do moich uszu dobiega odgłos tupania. Podeszwy uderzają o drewnianą podłogę. Miarowy dźwięk dochodzący z piętra staje się coraz głośniejszy. Na szczycie schodów ukazują się zbudzone z letargu lalki. Rozpędzone, tracą równowagę i turlają się po stopniach.

Zderzają się ze sobą. Wpadają między barierki. Urywają się sznurki przytrzymujące kończyny. Buty spadają z nóg. Porcelanowe głowy pękają, rozsypując się na kawałki.

Z pięknych lalek pozostała sterta szmat i pokruszona ceramiczna masa.

Tylko szklane oko Sary toczy się po deskach. Zatrzymuje się dopiero pod oknem.

Laura chwyta czarne loki i ciągnie mnie w stronę drzwi.

Siostra coraz mocniej zaciska palce na włosach. Chodnik pokrywa lód, gdy ryję po nim butami. Szadź osiada na źdźbłach trawy. Z gałęzi zwisają sople. Próbuje krzyczeć, ale oblodzone struny głosowe nie wydają żadnego dźwięku. Z ust wydobywa się jedynie obłok marznącej pary.

Zbliżamy się do stawu. Słońce przysłania biała luna, gdy Laura stawia stopy na ośnieżonej ziemi. Bierze zamach i rzuca moim sztywnym ciałem o twardą powierzchnię. Rozlega się trzask.

Siostra pochyla się nad brzegiem. Kładzie otwartą dłoń na zamrożonej płycie. Pęknięcia rozchodzą się we wszystkich kierunkach. Ogromna siła rozsadza lód na kawałki, po czym wybija je w powietrze.

Dryfuję na krze, kurczowo przytrzymując się jej brzegów. Szczękam zębami.

Za plecami stojącej na brzegu Laury dostrzegam kolorowe kształty. Ciała odbudowane ze zniszczonych części tworzą zlepek przypadkowych elementów. Powykrzywiane kończyny poruszają się nieporadnie.

Na przód wysuwa się prawdopodobnie Maria, jednak nie mogę mieć pewności. Brązowe pasma wystają z oczodołu. Ramię zlepione z miednicą podtrzymuje tułów, pozwalając

stawiać kolejne kroki. Zaraz za nią kuśtyka Paula. Żółty strzępek materiału oraz rudy sterczący z ucha lok nie pozostawiają wątpliwości.

Niektóre lalki nie posiadają kończyn, tylko wiją się po ziemi niczym węże. Ocierają wyszczerbionymi nozdrzami po podłożu, by nadać ciału prędkości.

W końcu dostrzegam Sarę. Wsuwa błękitną kulę w oczodół i mruga do mnie zalotnie. Po chwili wszystkie pokraki zatrzymują się nad brzegiem.

Słyszę, jak szlochają. Z oczu wypływają łzy. Zmieniają się w drobne kryształki, które spływają po porcelanowych policzkach, by następnie zniknąć w stawie.

Kawałki lodu, wzbite wcześniej w powietrze, zaczynają spadać na ziemię. Sople drżą. Dźwięk przenika do moich uszu, mrozi bębienki, aż w końcu rozsadza je od środka.

Wzburzona woda tworzy fale. Jeszcze mocniej wbijam paznokcie w podłoże. Rozpędzona kula ociera się o ramię. Tracę równowagę, gdy but ześlizguje się z taflí. Wpadam do wody.

Wiem, że umieram. Nie jestem w stanie zapanować nad oddechem. Otwieram usta, pozwalając cieczy wtargnąć do środka. Macham histerycznie rękami, próbując wydostać się na powierzchnię. Wtedy dostrzegam wyciągniętą dłoń Laury.

Oblodzone serce przestaje pompować krew. Zamarzają płuca. Wygięty w pałąk kręgosłup nie pozwala mi wykonać żadnego ruchu. Kończyny sztywnieją. Ciało się kurczy.

Jednak nie umieram.

Przechodzę przemianę.

Czuję ciepło, gdy Laura niesie mnie do domu. Objęcia ramion pozwalają doświadczyć bliskości drugiej osoby.

Promienie słoneczne osuszają zgromadzone na chodniku kałuże. Na gałęziach pojawiają się pąki. Kwiaty ozdabiają trawnik.

Wchodzimy po schodach na piętro. Siostra kładzie mnie na łóżku, po czym bierze do ręki suszarkę, nakierowując gorący strumień na czarne loki. Wyciąga z szafy różową sukienkę i białe rajstopy. Zawiązuje różową tasiemkę. Przejeżdża palcem po wypukłej bliźnie na prawym policzku. Widzę, jak Laura porusza ustami, ale do moich uszu nie dochodzą żadne dźwięki.

Siostra usadawia nową lalkę na regale, by szklane oczy mogły obserwować skąpany w słońcu staw. Półka ugina się, gdy zasiadają na niej pozostałe lokatorki. Laura patrzy na nas z podziwem, po czym łaskawie odwraca moją głowę.

Szklane oko Sary wysuwa się z oczodołu. Powyginane porcelanowe palce wciskają je na właściwe miejsce. Lalka zalotnie mruga.



TIGREN

Marcin Halski

Dwunastego maja zrozumiała, że dużo bliżej jej do śmierci niż do życia. Jakby stała na krawędzi otchłani, a nie starczało już sił i determinacji, żeby zrobić krok w tył.

Ta nagła myśl nie zaskoczyła jej zbyt, od jakiegoś czasu przeczuwała, że zbliża się niebezpiecznie do pewnej granicy. Najwyraźniej docierała do końca swej drogi.

Dzisiaj, kiedy wyciągała lekko zabrudzoną igłę z przegubu, nabrała co do tego pewności. Jak co wieczór spozrzała na jej końcówkę, na której zatańczyła pojedyncza kropla krwi. Odkleiła się po chwili i po krótkim locie, w całkowitej ciszy, rozbiła na podłodze. Obserwowała jej upadek z istic filozoficznym zamyśleniem. Czyżby sama również upadła?

Po chwili, która w jej aktualnym stanie ciągnęła się w nieskończoność, odłożyła opróżnioną strzykawkę obok siebie. Delikatnie, żeby nie stłuc kruchego szkła, w końcu

należała do tego szczególnego rodzaju przedmiotów na dworcu – była wspólna dla wszystkich. I na wagę złota.

Mętym wzrokiem spojrzała na siedzącego obok chłopaka. Może to przez narkotyk, może przez szalejące w organizmie hormony, ale wydawał jej się strasznie przystojny. Pomimo zlepionych, brudnych włosów, zaniedbanych paznokci i zapachu niedomytego ciała strasznie ją pociągał. Po raz kolejny poczuła znajome mrowienie. Miała już siedemnaście lat, pewne popędy coraz bardziej szalały w jej zaniedbanym organizmie i żaden nawet najsilniejszy narkotyk nie był w stanie skutecznie stłumić naturalnych żądz. A ten chłopak był inny, czuła to gdzieś głęboko w sobie.

Aleks, bo tak miał na imię, dołączył do ich komuny niecałe dwa tygodnie temu. Tak akurat na majówkę, jakby był to zaplanowany, kilkudniowy wypad w góry. Nikt nie wiedział, skąd wziął się na warszawskim dworcu, ale odnalazł ich bez pudła. Jakby wiedział, kogo i gdzie szukać. Jakby był czymś kierowany.

Ponoć swój ciągnie do swego – uzależnieni zawsze wyczują towarzysza w nałogu. Tak w każdym razie mówią i coś chyba w tym było; zniszczone, zniewolone umysły najwyraźniej lubiły towarzystwo im podobnych. Jakby w grupie łatwiej było usprawiedliwić swoje zachowanie i zachcianki.

Teraz jednak nie zaprzętała sobie tym zbytnio głowy. Jej myśli zaczynały znowu płynąć tylko w sobie znanym kierunku. Substancja, którą przed chwilą wstrzyknęła do krwioobiegu, zaczynała działać. Poczowała się odprężona i jakaś taka lepka na duszy. Zamieszanie, spowodowane pojawieniem się natrętnych, ciekawskich czy nawet nieetycznych myśli o chłopaku obok, zniknęło zastąpione kolejną dawką narkotykowych teorii.

Etyka. Jakie zabawne słowo w ich sytuacji. Oni, ćpuni z głównego dworca warszawskiego nie mieli takiego wyrazu w swoim słowniku. Liczyło się jedno – kolejna działka. Uczucie, które dawała i do którego za wszelką cenę chcieli wracać, nie bacząc na konsekwencje.

Nagle, przez mgłę, która zasnuła jej umysł, wkradła się kolejna z niechcianych myśli. Budziła strach nawet w tak zniszczonej psychice jak jej.

Całkiem niedawno na dworcu zaszły nietypowe zmiany. Oczywiście nie chodziło tutaj o wygląd, co to, to nie. Rejony, w których przebywali, były dawno zapomnianymi odnogami korytarzy; od dawna zaniedbanymi, brudnymi, ale i nieuczęszczanymi przez obcych miejscami. Chodziło o swego rodzaju... napięcie, które zaczęło towarzyszyć stałym bywalcom.

Nie wiedziała, czy ma to związek z ich nowym towarzyszem, ale odkąd pojawił się na ich melinie, dookoła zaczęły dziać się dziwne rzeczy. W tajemniczych okolicznościach znikali bezdomni pijacy, a wśród mieszkańców zaczęły powstawać coraz to bardziej przerażające legendy. O potworach, które polowały w mroku, o krzykach w ciemnych tunelach. Ale jak to zawsze w takich sytuacjach bywa: ktoś coś mówił, jakiś znajomy kiedyś widział czy słyszał, ale nikt osobiście nie był świadkiem. A plotki rodziły się łatwo.

Póki co nikt z ich komuny nie zwracał na to zbytnej uwagi, gdyż nie tyczyło to ich bezpośrednio. Oni, jako młodzież, niezbyt przepadali za tymi starymi wykolejeńcami. Ochlapusy wydający ciężko wyblągane pieniądze na alkohol. Dla takich przegrywów nie mieli współczucia. To, co robili, było takie... słabe. Więc jeśli znikają, to ich sprawa.

Uśmiechnęła się do siebie. Słabe. Kolejne zabawne słowo. Przez chwilę wręcz bawiła się nim na języku, delektując brzmieniem. O tak, znowu czuła się błogo i beztrosko.

Aleks, dalej siedzący obok, poruszył się. Otworzył oczy i spojrzał wprost na nią. Ten wzrok – hipnotyzował, przyciągał, a zarazem w jakiś sposób przerażał. Jakby oczy, które się w nią wpatrywały, nie były do końca ludzkie. Choć to pewnie kolejny skutek tej cudownej mieszanki.

– I jak, dalej ci się to podoba? – Chłopak odezwał się prawie szeptem. – Mam jeszcze trochę tego towaru, ale kończy się w zastraszającym tempie.

Widząc jej zatroskaną minę, przysunął się bliżej, obejmując ją przy tym ramieniem. Zwiotczała w jego ramionach, oparła na nich głowę i trwała przez jakiś czas bez ruchu.

– Nie martw się, mam pomysł, skąd wziąć tego więcej. I nikt nie musi o tym wiedzieć – dodał, kiedy chwila milczenia ciągnęła się zbyt długo.

Ach, no tak, to był ich mały sekret. Nikt nie wiedział, że po kryjomu dosypywał czegoś do ich działek. Czegoś mocnego, pięknego, choć z pewnością bardzo uzależniającego. Skąd to miał, czym było – nie miało dla niej znaczenia. Po prostu przywiózł to ze sobą i dzielił się wyłącznie z nią. Tylko to się liczyło – wspólna tajemnica, szczyt romantyzmu naszych czasów.

– A kiedy powiemy reszcie? – zapytała, patrząc na śpiących dookoła młodych ludzi.

To była ich pora – zawsze czekali, aż wszyscy zasną, zanim wstrzykiwali sobie mieszankę. Dzięki temu nikt ich nie nakrył. Ukrywali to przed nimi, a już w szczególności przed Robertem, ich nieformalnym przywódcą. Ten to by się wściekł i zapewne przegnał Aleksa na cztery wiatry. A to przecież nie było tak naprawdę złe. Po prostu dawało coś więcej niż standardowa hera.

Owszem, urywał jej się często film na resztę nocy. Budziła się potem nad ranem z bólem mięśni, stawów, ale wypoczęta, pełna energii. I nikt nic nie wiedział, nie widział ani nie podejrzewał. To było tajemnicze i pociągające jak Aleks.

W tym momencie poczuła, jak dopada ją zmęczenie. To też był stały proces – najpierw przyjemny szum i obrazy w głowie, potem senność, błoga i spokojna, na końcu poranek i nowy dzień spędzony w oczekiwaniu na ponowny wieczór.

Ale dziś uczucie, że zbliża się do końca, trzymało ją wyjątkowo mocno. Nie opuszczało nawet, kiedy opadły znużone powieki.

Śniły jej się dziwne rzeczy: migające w upiorny sposób światła, brzęczące urządzenia, kable, które z niewiadomych przyczyn wychodziły jej z ciała. Ruch, ulice, latarnie i drogi; jakby ją gdzieś transportowano, wieziono. Słyszała głosy, stanowcze, ale pełne napięcia. Miała wrażenie, że ktoś mocno, ale to bardzo mocno stara się przekazać rozpaczliwe rozkazy.

A potem znowu przywitał ją mrok. Przynajmniej poczucie zmęczenia i strachu ulotniło się, pozostał błogi spokój. Prawie jak po heroinie.

To był niesamowicie realny sen.

Obudziła się i pierwsze, co poczuła, to dziwny zapach. Znała go aż nazbyt dobrze, potrzebowała tylko chwili, żeby przypasować go do konkretnego miejsca. Szpital! Znowu przedawkowała, cholera! Niewiele myśląc, dźwignęła się szybko, zrzucając lewą ręką kołdrę.

Chciała od razu zeskoczyć z łóżka, kiedy z zaskoczeniem stwierdziła, że jej druga dłoń jest przypięta kajdankami do metalowej ramy.

Co do....? Szarpnęła nią, choć wiedziała, że to bezcelowe. Zakuli ją! Tylko za co? Przyćpanie nie było przestępstwem! Nawet jeśli zdarzyło się to nie po raz pierwszy. Od razu podziękowała w duchu, że to nie ona trzyma towar, bo gdyby go przy niej znaleźli, miałyby problem. A tak? Coś tu mocno nie grało.

Chciała krzyknąć, ale suchość w gardle powstrzymała jakikolwiek dźwięk. Zamiast tego rozkaszała się okropnie, a w głowie eksplodował ból. Miała wrażenie, że w czaszce, od spodu, znajdowały się setki gwoździ, które teraz masowo wbiły się w miękkie i delikatny mózg. Prawie zwymiotowała.

Jakby czekając na ten dźwięk, drzwi do sali otwały się z impetem. Stał w nich lekarz, a zaraz za nim....

– Odzyskała już przytomność, a jej stan jest stabilny. Należy do was – powiedział pracownik szpitala i szybko wycofał się na korytarz, odsłaniając przejście tajemniczemu mężczyźnie.

Człowiek, który wcześniej stał za postacią w kitlu, podszedł do łóżka. Miał chłodne, pozbawione uczuć spojrzenie i twarde rysy twarzy. Całą swą postawą emanował nieludzkim wręcz spokojem, a zarazem jakąś dziwną bezwzględnością. Lubiała twardych facetów, ale ten, który właśnie stanął nad jej łóżkiem, przerażał ją do szpiku kości. Spojrzał jej prosto w oczy i pokręcił głową. Przez chwilę milczał, a kiedy się odezwał, miała wrażenie, że taki głos mógł należeć do samej Śmierci.

– Masz problem – powiedział.

– To niemożliwe – wyszeptała po raz nie wiadomo który.

Próbowała trzęsącymi się dłońmi zasłonić oczy, ale nie była w stanie. Łańcuch mocujący kajdany do stołu był za krótki, krępował nawet tak mało skomplikowane ruchy. Zamiast tego opuściła głowę i z całej siły zacisnęła powieki.

– Możliwe. I prawdziwe. Poznajesz?

Zmusiła się, żeby jeszcze raz spojrzeć w obrazy pokazywane jej na ekranie. Chronologicznie ustawione, dobrze przycięte, pokazywały ostatnie dni życia na dworcu.

Pierwszy maja, drugi, trzeci.... Filmy nagrane przez kamery, o których istnienia nie miała pojęcia chyba nawet lokalna policja, ukryte w różnych zakamarkach, rejestrowały nocne życie jej tymczasowego domu.

Ale nie to było straszne. Najgorsze było to, co przedstawiały te krótkie, puszczone jej fragmenty. Była na nich ona i Aleks. Na każdym z nich chłopak stał gdzieś z boku, z tym swoim nietypowym uśmiechem i wyrazem oczu. Przyglądał się spokojnie i beznamiętnie, a ona...

Zabijała. Dziko, w szale, z nieludzką wręcz siłą.

Czwarty maja: brodaty, starszy menel. Rzuciła się na jego plecy, zwinnym ruchem skręcając kark.

Piąty maja: z nienaturalnie wykrzywionymi ustami wbiła paznokcie w oczodoły powalonego chwilę wcześniej pijaka. Pomimo czarno-białej wizji wyraźnie widziała tryskającą, ciemną krew. Była wszędzie.

Szósty, siódmy, ósmy.... Codziennie mordowała. Za każdym razem inaczej, ale z jedną wspólną cechą – była niczym nieokiełznana, niesamowicie zwinna i silna bestia w ludzkiej postaci.

Dziewiąty, dziesiąty, jedenasty.... Na tym ostatnim na chwilę zatrzymała się, twarzą w twarz z kamerą. Operator specjalnie zatrzymał pokaz w tym momencie. Mogła teraz przyjrzeć się swojemu obliczu: wściekłe, przekrwione oczy, wykrzywione wargi, tak musi wyglądać czysta furia i wściekłość.

Dwunasty maja. Ostatnia jej noc z Alekssem, zanim trafiła do szpitala. Tym razem ofiarą był znajomy bezdomny – pierwszy, którego napotkała na dworcu jako nowa ona. Uzależniona, ale wolna i beztroska. To on pokazał jej miejsce, gdzie grupa Roberta urządziła swoją kryjówkę.

Na tym nagraniu leżał martwy, a ona pochylona nad nim wyciągała właśnie rozczapierzoną dłoń z jego wnętrzości. Cały brzuch pokryty miał krwią i kawałkami jelit – jeszcze chwilę unosił się w górę i w dół, po czym znieruchomiał. Tylko oczy, przerażone, przepełnione bólem i cierpieniem zamrugały jeszcze parę razy, jakby organizm sam nie mógł dowierzyć, co właśnie z nim uczyniono.

I jak każdej nocy stała nad martwym ciałem, dysząc. Trwało to krótko, bo po chwili podchodził Aleks i wbijał coś w jej ramię. Wtedy jakby wiotczała, przewracała się nieprzytomna.

Klik. Ekran, na którym wyświetlano nagrania, zalała czern.

– Jak wspomniałem wcześniej, masz problem. – Głos mężczyzny, tego samego, który wszedł do szpitalnej sali, nadal był bepcłciowy, pozbawiony większych emocji, a zarazem mroczny i w jakiś sposób przerażający. – I to większy niż myślisz.

Nie do końca zrozumiała, co powiedział. Jej umysł zaczął toczyć wewnętrzną walkę. Wysyłane przez cały organizm symptomy głodu narkotykowego walczyły o lepsze z przerażeniem i... zawiedzeniem? Dopiero po chwili pozbierała się na tyle, żeby coś odpowiedzieć.

– Aleks... – wyszeptała, a pojedyncza łza spłynęła po jej policzku.

– Właściwie to Aleksiej Giogrowicz – doprecyzował zimno człowiek siedzący przed nią.

Aleksiej... nawet ładniej.... Tak egzotyczniej... Zanim całkowicie pograżyła się w rozmarzeniu, poczuła, że nogi zaczynają się jej trząść. Niedobrze, byle tylko nie zacząć panikować.

– To efekt odstawienia – powiedział mężczyzna, widząc jej zmieniający się stan. – I to nie tylko od heroiny. Aleksiej jest jednym z najmłodszych członków rosyjskiej grupy przestępczej. Specjalizują się we wprowadzaniu na zachodni rynek nowych narkotyków. Testują każdy nowo powstały „dopalacz” na takich zerach jak wy. W każdym większym mieście w okolicznych krajach. Mińsk, Kijów, Ryga, Warszawa i tak dalej. Sprawdzają w praktyce działanie substancji, skutki uboczne, stopień uzależnienia. Ostatnio skupili się na swoim najnowszym wynalazku, nazwanym Tigren. Jak widać zażywanie go daje nietypowe efekty. Ale też uzależnia o wiele mocniej niż ta wasza hera.

– Skąd wy to wiecie? – Własna śmiałość zaskoczyła ją, ale czuła, że jeśli zaraz czegoś nie weźmie, to po prostu oszaleje. Jakby jej ciało rozrywała od środka jakaś niewidzialna, ale potężna siła.

– Tropimy tę grupę od lat. Udało nam się zlokalizować Giogrowicza w Warszawie. Śledziliśmy jego czyny, czekając na moment, kiedy zakończy testowanie i będzie próbował nawiązać kontakt ze swoimi.

– Czyli to, co robiłam od kilkunastu dni, było dla was wiadome? – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Życie paru meneli czy ćpunów nie ma znaczenia, jeśli chcemy ocalić wiele istnień. To my usuwaliśmy zwłoki, śledziliśmy wasz każdy krok. Czekaliśmy na dogodną okazję. Niestety – tu westchnął – wczoraj udało mu się zbiec dosłownie w ostatniej chwili. Najwyraźniej zrozumiał, że jest spalony i zapadł się pod ziemię. Porzucił cię wśród swoich, choć zdążył cię jeszcze wyczyścić, jak zawsze zatrzeć ślady. Chyba cię lubił na swój chory sposób.

Poczuła, jak robi jej się coraz bardziej niedobrze. Słowa przesłuchującego ją człowieka dochodziły już jakby zza ściany. Były słabe, niewyraźne. Głód, potęgowany strachem i niepewnością, przejmował kontrolę – czuła, że się zapada.

– Oho, widzę, że póki co nic nie wyjdzie z naszej rozmowy. – Jeśli czuł się tym zawiedzony, to świetnie to ukrywał. Od całej jego postaci nadal biła nieziemski obojętność. – Wrócimy do tego, ale chyba potrzebujesz czegoś na wzmocnienie.

Jak na sygnał otwarły się drzwi pokoju przesłuchań i weszło przez nie dwóch wojskowych. Odpięli jej kajdanki, uwalniając oba przeguby, i zaciągnęli do celi. Nie opierała się, nawet nie miała na to sił.

Tam czekała na nią miła niespodzianka. Pełna strzykawka leżała na łóżku, już z daleka uśmiechała się do niej. Rzuciła się w tamtą stronę, jakby sam ten widok dodał jej energii.

– Nie łudź się – powiedział jeden z nich, ale nie zwracała już na niego uwagi, zajęta podwijaniem rękawa. – To tylko heroina. Ty uzależniłaś się od czegoś mocniejszego, a bez Aleksieja tego nie dostaniesz. Ale przynajmniej nie zwariujesz na szybko i może zdążysz pomóc, zanim całkiem odpłyniesz.

Drzwi celi zatrzasnęły się, ale usłyszała to już jakby we śnie. Znowu w jej żyłach płynął niosący ulgę narkotyk.

Następne dni były jak z koszmaru. Przepytywano ją o wszystkie kryjówki, tajne przejścia, schowki i ogólnie wszystkie tajemnice, które znają tylko dworcowe ćpuny. A ona mówiła chętnie – wiedziała, że za współpracę dostanie znowu działkę. Jej wpływ był co prawda coraz słabszy, jakby uzależnienie nie tego oczekiwało, ale jednak pomagał. Nie relaksował jej, nie zabierał w świat marzeń, ale uspakajał. Chwilowo musiało jej to wystarczyć. Oby nie musiała czekać zbyt długo.

Modliła się, żeby w końcu odnaleźli Aleksa. Pragnęła tego z całego zmienionego przez narkotyk serce.

Ale ten moment nadal nie nadchodził.

Nie wiedziała, czy trzymają ją tutaj już miesiąc, tydzień, czy może rok. Zdawała sobie tylko sprawę, że już nie daje rady. Hera już jej nie wystarczała, nawet nie uspokajała. Przystawała już racjonalnie myśleć, nie potrafiła nic logicznego sklecić nawet we własnej głowie, a co dopiero powiedzieć.

Leżała plecami na łóżku, a jej ręce oraz nogi przypięte były pasami. Próbowwała się wyrwać po raz nie wiadomo który. Ucisk w klatce piersiowej, zasysanie żołądka, podwyższone ciśnienie, rozbiegane oczy. Głód był straszny i bezlitosny. Jakby zamiast oczekiwanego narkotyku, zaczynał pożerać ją samą.

Chyba krzyczała całą noc. Nie pamiętała tego, ale bolała ją zuchwa i zaschło w gardle, z którego wydobywał się już tylko charkot.

Strzępki myśli atakowały, nie pozwalały odetchnąć nawet na chwilę. Dlaczego go jeszcze nie znaleźli? Przecież powiedziała im wszystko, co wiedziała. Musieli trafić już na jakiś trop, ślad, cokolwiek, co zaprowadzi do Aleksa i jego tajemniczej substancji.

Aleks... Aleksiej.... Gdzie jesteś? Poddaj się, znajdą cię prędzej czy później. A tak może uda ci się z nimi dogadać. Złagodzić karę, może nawet odejść wolnym. I przekazać mi troszkę tego dodatku. Odrobinkę.... Aleksiej.. Proszę....

Czuła, że powoli traci zmysły. Trzęsa się, próbowała rozerwać twarde skórzane pasy. Wzięła głębszy oddech, żeby znowu wrzeszczeć, ale nic z tego nie wychodziło. Cierpiała coraz bardziej.

Jej cęła była obojętna jak mrok, który w niej panował.

Kim była? Jak żyła? Co robiła?

Nic już nie wiedziała. Czuła tylko głód. Przeróżający, władczy, niszczycielski.

Pamiętała imię: Aleks. Wiedziała, że tylko w jego rękach jest ratunek. Jego substancja, jego obietnica przyjemnych chwil. Tylko one się liczyły.

Nieważne, co robiła potem, po zażyciu. Niech zostawia ją przypiętą, byle tylko dostać troszeczkę.

Aleks, w końcu to ty kusieś mnie do tego, nie zostawiaj mnie...

Boże, jeśli istniejesz, pomóż im odnaleźć tego ludzkiego diabła...

Ten dziwny mężczyzna znowu stał nad jej łóżkiem. Musiał tu tkwić od jakiegoś czasu, bo gdy tylko otworzyła oczy, od razu go spostrzegła.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości: dobrą i złą. Zapytałbym, którą chcesz najpierw, ale raczej mi nie odpowiesz – powiedział.

Jej zniszczony, zagłodzony umysł zarejestrował te słowa, ale ich znaczenie wydawało się już mało istotne. Istotne... ten wyraz przestał już istnieć w jej słowniku. Jak większość poznanych w życiu słów.

– Znaleźliśmy Aleksieja. To ta dobra oczywiście. Zła natomiast jest taka, że nie żyje. Widać jego zleceniodawcy uznali, że nie jest im potrzebny, więc zatarli za sobą ślady

w sposób ostateczny. Wyłowiliśmy rano jego ciało z Wisły. I nie znaleźliśmy przy nim Tigrenu.

Nie mają tajemniczej substancji. Uczucie zawiedzenia przeszło jej myśli, paraliżując wszystko na swej drodze. Resztki jej świata, które ledwo trzymały się do tej pory, runęły w posadach. A mimo to udało jej się po raz ostatni otworzyć usta.

– Co... teraz... ze mną? – Resztkami świadomości, używając do to ostatnich sił, skleciła jakże ważne dla niej pytanie.

Odpowiedź, która nadeszła, nie była taką, jakiej oczekiwała. A raczej jaką chciałaby usłyszeć, gdyby nie to, że wszelkie jej zmysły odcinały się od otaczającego świata.

– Jak to co? Jesteś nam już niepotrzebna. Niestety twoje informacje okazały się bezużyteczne. A więc wypada powiedzieć: żegnaj.

Chciała zapytać, co oznacza „żegnaj”, ale nie zdążyła. Silne ręce odpięły pasy, dźwignęły ją pod ramiona i zaczęły ciągnąć na korytarz. Zasikana, śmierdząca pidżama przylepiła się do jej wychudzonego ciała, ale nie poczuła tego.

Po kilkunastu minutach niosący ją ludzie dotarli do metalowych drzwi. Pchnięte, otwały się z przerażającym skrzypnięciem. Pomieszczenie w środku w większości zajęte było przez ogromny, stary piec. Znajdowali się w kotłowni, dzięki której na całym dworcu udawało się utrzymać ciepło. Kiedy uchylono jego klapę, uderzył ją w twarz potworny żar. Mimo to głos, który rozbrzmiał przy jej uchu, zabrzmiał lodowato i obojętnie:

– My również nie lubimy zostawiać śladów. Nie przejmuj się, nie powinno boleć.

Przekrzywiła w tą stronę głowę i ujrzała twarz mężczyzny, który zapoczątkował jej koszmar. Człowieka, którego pojawienie się w szpitalnej sali było zwiastunem końca.

Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że w jego oczach odbiło się jakieś ludzkie uczucie. Może tylko jej się wydawało, ale zanim ogarnęły ją płomienie, zobaczyła w nich smutek.

DZIADY cz.V

DZIADY, KTÓRE NIE SPIEPRZAJĄ



ADAM
MICKIEWICZ

Mikołaj
Kotyszko

i TY!!!

Poniższy fragment jest częścią książki

Dziady część V. Dziady, które nie śpieprzają,

która ma szansę ukazać się jesienią tego roku nakładem Wydawnictwa Otwartego.

Mikołaj Kołyszko & Adam Mickiewicz¹

prezentują

Dziady część V. Dziady, które nie spieprzają

(gra paragrafowa)

O tym, jak poznałem Adama Mickiewicza

W piątek 13 listopada 2020 roku postanowiłem zrobić użytek z setek tysięcy stron tekstów sakralnych, apokryficznych, okultystycznych, magicznych (praktycznych i teoretycznych) oraz alchemicznych, które przyswoiłem w trakcie studiów religioznawczych. Owe lektury i nauki poznawałem na tej samej złowieszczej uczelni, na której onegdaj uczył się i wykładał słynny nekromanta i krakowski demonolog, Jan Twardowski². Podobnie jak wspomniany mag, postanowiłem teorię przekuć w praktykę metodą przez niego opisaną, którą cudem zdobyłem na dość szemranej aukcji internetowej.

Na niej to pozyskałem rozpadający się pergamin z opisanym w nowożytnej łacinie rytuałem. Wyglądało na to, że był on dokładnie tym samym, który Twardowski wykonał na dworze króla Zygmunta Augusta, gdy przywołał ducha tragicznie zmarłej Barbary Radziwiłłówny. Kiedy więc pamiętnego listopadowego wieczoru zapadł zmrok, wyciągnąłem zwierciadło wykonane z wypolerowanego mosiądzu, zapaliłem trzy czarne świece i począłem przywoływać tego, który przeszedł na drugą stronę rzeczywistości, wieszczą, który zawsze wierzył w możliwość tajemnego kontaktu żyjących z dawno zmarłymi. Ufałem, że jeśli rytuał ma mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, trzeba wezwać właśnie kogoś, komu zależało na przekonaniu niedowiarków, że taki kontakt jest możliwy. Wezwałem samego Adama Mickiewicza.

1 Tak się przedstawił!

2 Tak, także moją *Alma Mater* był Uniwersytet Jagielloński.

Nie miałem wielkich oczekiwań co do owego rytuału. Ot, eksperyment, jakich wiele było w czasie moich studiów. Rytuał spirytystyczny stukającego stołu, podczas którego przywoływaliśmy lata temu ducha Boba Marleya, nie przyniósł skutku, prawdziwość kart tarota okazała się względna, podobnie jak talent pewnego znanego w Polsce jasnowidza, z którym przed laty przeprowadziłem nigdy nieopublikowany wywiad.

Jakież było moje zdziwienie, gdy mosiężne lustro pokryło się mgłą, a w moim mieszkaniu mrok zdał się nawet przyćmiewać światło słabnących pod jego mocą świec. Zapadła też cisza tak głęboka, że w całym swoim życiu podobnej nie doświadczyłem. Umilkły zarówno okoliczne psy, jak i sowy przylatujące pod moje mieszkanie z nieodległego Lasu Wolskiego, nie słychać było na zewnątrz żadnego auta ani netflixowych seriali puszcanych zazwyczaj o tej godzinie u wielu moich sąsiadów. Najbardziej przeraziłem się, gdy pojąłem, że nie słyszę nawet bicia własnego serca.

Tę pustkę dźwiękową przerwałem słowami dobrze znanego, lecz w swoim ukrytym znaczeniu przerażającego i nierozumianego przez ogół zaklęcia:

– Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... – wyszeptalem z trudem przez ściśnięte ze strachu gardło.

– ... co to będzie, co to będzie? – odpowiedziało mi coś z odległej otchłani znajdującej się za zwierciadłem.

Po chwili ukazała się tam obrośnięta bokobrodami twarz z burzą gęstych włosów zaczesanych do tyłu. Szaroniebieskie oczy wejrzały głęboko w moje.

Ponownie nastąpiła grobowa cisza, mniej przerażająca, ale zdecydowanie bardziej kłopotliwa. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co zrobić dalej. Nigdy z żadnym rytuałem nie zaszedłem tak daleko. Uśmiechnąłem się nieśmiało do objawiającej mi się postaci, na co ona też się uśmiechnęła. Siedzieliśmy tak chwilę i chyba nikt nie wiedział, jak zacząć tę konwersację.

– Adam? – zapytałem w końcu nieśmiało.

– Tak, Adam. Ten Adam.

Wtedy do mnie dotarło, czego w końcu udało mi się dokonać. Wpierw byłem uradowany, lecz szybko znów dopadło mnie przerażenie. „Jezus Maria. Wieszcz narodowy w moim domu, a ja taki nieprzygotowany! Ani ciastek, ani herbaty... Zaraz, duchy nie piją herbaty... Co to tam jadły według *Dziadów*? Pustka w głowie, nie pamiętam. A co jadły według Homera? O!... ale tego też nie mam...”

– Adamie, przepraszam, nie sądziłem, że się mimo wszystko zjawisz. Niestety nie mam krwi czarnego barana, jestem wegetarianinem... Wina też nie, jestem abstynentem... Miód mam, ale mleko jedynie wegańskie, owsiane. Co? Nie bardzo? No, ale woda z mąką się znajdzie. Już robię. Wolisz zimną czy wrzątek?

– Daj spokój. Nie po to przybyłem. Mogłem zignorować twoje wołanie, ale jak widzisz, nie zrobiłem tego. Nasycisz mnie inaczej. Duch eteryczne ma ciało, pióra dzierżyć już nie może, ale szepczące mu na ucho muzy go nie opuszczają. Potrzebuję cię, by dopełnić swe wiekopomne dzieło.

Serce mi szybciej zabiło.

– Potrzebuję cię do napisania brakujących od niemal dwóch wieków...

„Byle nie kolejna wersja *Pana Tadeusza*” – pomyślałem. Po tym, co zrobił hrabia Fredro, nic lepszego już nie powstanie. A nie mam pojęcia, czy Adam wiedział o tym sequele i czy będzie uradowany, jak się o nim dowie.

– ... brakujących części *Dziadów*.

– TAK! – wykrzyknąłem uradowany, niweczając grobową ciszę, na co wieszcz skrzywił się z niesmakiem.

Dziady! Sztuka zawierająca tak wiele okultystycznych wtrętów, że gdyby układający w tym kraju program nauczania je rozumieli, w życiu by nie zgodzili się wpisać jej na listę lektur – a

jest na niej od lat, nieprzerwanie. Nigdy nie mogłem przestać się dziwić, że nie trafiła na watykański Indeks ksiąg zakazanych jak Mickiewiczowskie, moim zdaniem znacznie bezpieczniejsze, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* oraz wykłady z *Collège de France* (BTW, tkwią na nim po dziś dzień).

– Adamie, nawet nie wiesz, jak się cieszę! – dodałem rozentuzjasmowany. – Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak kończą się *Dziady* część I, i móc poskładać całą tetralogię w całość, by lepiej zrozumieć jej tajemny prze...

– Co? – odparł wyraźnie zbity z tropu Adam.

– No... dokończyć część I *Dziadów*. Wydałeś najpierw II, potem IV, później pasującej do niej jak pięść do nosa część III i po śmierci opublikowano twoją niedokończoną część I. I w końcu pomogę ci ją sko...

– Nie, nie – przerwał mi szybko. – Napiszemy teraz część V! To będzie epickie! Mam już dość formy dramatu... Zresztą przebywanie w zaświatach ukazało mi z całą mocą, jak wola ludzka wpływa na ludzkie losy, i muszę to oddać w pełnej krasie w literaturze – dodał podniosłem tonem. Po chwili zamrugał, jakby dopiero teraz zrozumiał, co wcześniej powiedziałem. – Jak to część III pasowała jak pięść do nosa!?

– ... a nie lepiej skończyć część I i później...

– NIE! To jeszcze spokojnie poczeka. Na to muszę mieć natchnienie.

Nie wiedziałem przez chwilę co powiedzieć...

– Adam, bez jaj. Musisz przestać w końcu prokrastynować! Minęło prawie dwieście lat, od kiedy zacząłeś to pisać!

– Na pewno to zrobię. Obiec...

– I prawie sto siedemdziesiąt lat od twojej śmierci – przerwałem mu zdenerwowany. – Jak długo można...

– Powiedziałem, że to zrobię! Na rany Polski-Chrystusa! Jak powiedziałem, że zrobię, to zrobię, nie musicie mi truć o tym co pokolenie.

– Kiedy skończysz?

– Jak skończymy część V – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Jak rzekłem, będzie epicka (dramaty już się nie sprzedają). Słuchaj, jaki tytuł jej nadałem. *Dziady...* – zawiesił głos w napięciu.

– No, jakby go gdzieś słyszałem – stwierdziłem bez większego entuzjazmu.

– ... *które nie spieprzają* – dodał z uśmiechem.

Zamknąłem oczy i wypowiedziałem raz jeszcze ten tytuł w myślach. *Dziady część V. Dziady, które nie spieprzają*. Spojrzałem w oblicze Adama ukazujące się w zamglonym mosiężnym zwierciadle. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Dobrze – odparłem.

I zaczęliśmy pisać.

Czym jest gra paragrafowa?

– Dobra, musisz najpierw zrozumieć, jak będzie wyglądała lektura – powiedział rozentuzjasmowany Adam. – To ma być epicka epika. Czytelnik będzie sam decydował o tym, w którego bohatera się wcieli i czyimi oczami będzie śledzić fabułę części V. Czegoś takiego świat jeszcze nie...

– ... w sensie coś takiego jak gra paragrafowa?

– Co?

– No, gra paragrafowa. Mówi się też gra książkowa, gamebook albo powieść interaktywna. Narracja jest zazwyczaj drugoosobowa, dominują opisy w czasie teraźniejszym. Czytelnik wciela się w bohatera, dokonuje wyborów na koniec krótkiego rozdziału (zwanego paragrafem) i w ten sposób decyduje o rozwoju akcji. Lektura przypomina grę komputerową albo fabularną.

Jeśli dalej nie potrafisz sobie wyobrazić tego typu lektury, przejdę teraz w tryb pisania gamebookowego, by ci to ułatwić, i dalszą część historii poznasz właśnie w tej formie.

Adam Mickiewicz przez chwilę mruga nerwowo.

– Nie mów, że Słowacki już to...

– Nie! Co ty. Pierwszy taki utwór stworzył angielski bajkopisarz Edmund Wallace Hildick.

Ta wiadomość zdała się lekko uspokajać wieszczka.

– Uff... Bo Słowacki to wiesz. Świątynia bez Boga. Taki z niego pisarz jak...

– Wiem, wiem – staram się szybko uciąć temat. Nie lubię, kiedy ludzie wykorzystują rozmowę ze mną do wylewania swoich frustracji na nielubianych znajomych.

Wykonuję dłonią sekretny znak Vroth, przez co mogę Mickiewiczowi pokazać bliską możliwą przyszłość.

– Patrz, Adam. To jest 2021 rok i na relację z tego spotkania oczami wyobraźni patrzą ci, którzy być może czytają początek części V *Dziadów* (albo zastanawiają się, czy wesprzeć zbiórkę na nią).

Macham do ciebie dłonią. Tak, tak, właśnie do ciebie. Przyszłość jest lekko zamglona i mam problemy, żeby dobrze dostrzec twoje kształty. Powiedz mi, proszę, czy jesteś...

... kobietą – [§1](#)

... mężczyzną – [§2](#)

... osobą niebinarną – [§3](#)

§ 1

Czytelniczko droga, masz teraz jedyną i niepowtarzalną okazję porozmawiać bezpośrednio z samym wieszczem. Możesz zadać jedno pytanie, ale nie biorę odpowiedzialności za to, co ci odpowie.

– Co oznacza przedstawiona w części III *Dziadów* tajemna liczba „czterdzieści i cztery”? – [§4](#)

– Z czego to spowiadałeś się w Paryżu, że ksiądz musiał się konsultować aż z papieżem, by udzielić ci rozgrzeszenia? – [§5](#)

– Na serio musiałeś tak cisnąć Słowackiemu po rodzicach w *Dziadach*? Koleś dopiero po tym cię znienawidził. Wcześniej był fanem! – [§6](#)

– Serio? Naprawdę musiałeś napisać *Pana Tadeusza* trzynastozgłoskowcem? Wiesz, jak to się teraz czyta!? – [§7](#)

§ 2

Czytelniku drogi, masz teraz jedyną i niepowtarzalną okazję porozmawiać bezpośrednio z samym wieszczem. Możesz zadać jedno pytanie, ale nie biorę odpowiedzialności za to, co ci odpowie.

– Co oznacza przedstawiona w części III *Dziadów* tajemna liczba „czterdzieści i cztery”? – [§4](#)

– Z czego to spowiadałeś się w Paryżu, że ksiądz musiał się konsultować aż z papieżem, by udzielić ci rozgrzeszenia? – [§5](#)

– Na serio musiałeś tak cisnąć Słowackiemu po rodzicach w *Dziadach*? Koleś dopiero po tym cię znienawdził. Wcześniej był fanem! – [§6](#)

– Serio? Naprawdę musiałeś napisać Pana Tadeusza trzynastozłoskowcem? Wiesz, jak to się teraz czyta!? – [§7](#)

§ 3

No i super! I ja, i Adam cieszymy się, że jesteś w gronie czytających naszą książkę. Niemniej z powodów narracyjnych muszę się do ciebie zwracać w którymś z dostępnych w polszczyźnie rodzajów. Powiedz mi, proszę, czy w trakcie tej konkretnej lektury powinienem się zwracać do ciebie w formie neutralnej (z użyciem osobatywów³), w formie żeńskiej czy w formie męskiej (przy kolejnej lekturze możesz to dowolnie zmienić).

– W formie neutralnej – [§8](#)

3 Osobatywy to konstrukcje językowe składające się z wyrazu „osoba” + imiesłów, „osoba” + przymiotnik itp. Nie wskazują na żadną konkretną płeć, są łatwe w deklinacji, a stosowanie ich jest zgodne z polską pisownią.

– W formie żeńskiej – §1

– W formie męskiej – §2

§ 4

– Oho – odpowiada wyraźnie uradowany wieszcz. – Liczba ta ma wiele znaczeń i jej tajemnicę w pełni odsłonię w części V *Dziadów* (ale tylko uważnemu czytelnikowi!). Niemniej już teraz uchylę ci jej rąbka. – Spogląda z wyższością zarówno na ciebie, jak i na mnie, po czym mówi: – W prześwietłej, ale i przepelnionej grozą Apokalipsie Świętego Jana jest napisane, że będzie zbawionych czterdzieści cztery tysiące mężów z pokolenia Izraela, którzy mieć będą pieczęć Boga na czole. Ponadto mury powstałej na koniec czasów Jerozolimy mieć będą czterdzieści cztery tysiące łokci. Tysiące w wizji Księdza Piotra wyrzuciłem, bo mi rymy psuły. Tak jak Polska...

– Adam – przerywam nieśmiało wieszczowi. – Nie chciałem cię urazić, ale chyba tam jest sto czterdzieści cztery tysiące.

– Oho, ho, taki wielki nekromanta, taki biegły w sztuce okultyzmu, a Apokalipsy nie zna. Aż dziw, że udało ci się mnie przywołać.

– Nie, Adam, serio mówię. W Apokalipsie pada liczba sto czterdzieści cztery tysiące, nie ma tam nigdzie „czterdzieści cztery”. – Wstaję pośpiesznie i wyciągam z półki na ślepo Biblię Tysiąclecia, przynoszę ją pod zwierciadło, szybko kartkując przy słabym świetle czarnych świec do siódmego, czternastego i dwudziestego pierwszego rozdziału ostatniej z ksiąg. Po kolei pokazuję je wieszczowi.

– Co to jest? Nie znam tego tłumaczenia. Tu są błędy. Przede wszystkim w zapisie kluczowej liczby.

„Nie pogadasz” – myślę. Chwytam za smartfona i googlam Biblię Jakuba Wujka (które to tłumaczenie na bank znał za życia), pokazuję mu znów trzy kluczowe rozdziały, następnie szukam Wulgaty (łaciński przekład) i znów pokazuję.

Zapada niezręczna cisza.

– O kurwa – stwierdza z ciężkim westchnieniem.

Znów nikt nic nie mówi. Rozważam, czy Adama pocieszyć, bo przecież przez niemal sto dziewięćdziesiąt lat nikt się nie skapnął, więc nie ma co się przejmować, ale zanim zdążę otworzyć usta, on przejmuje inicjatywę:

– No dobra, nieważne. – Uśmiecha się nerwowo. – Przejdźmy do kolejnej części z septalogii *Dziadów*. To będzie dopiero dobre!

– Jak to septalogii? – pytam wzburzony.

– A więc słuchajcie – mówi Mickiewicz, ignorując moje zaniepokojenie.

I zaczyna opisywać koncept najbardziej epickiej gry paragrafowej, jaka kiedykolwiek powstała!

Ciąg dalszy, być może, dzięki tobie, nastąpi...

Przejdź jeszcze na chwilę [do §9 i zobacz, jakie postacie i przygody będą dostępne w grze.](#)

§ 5

– No nie... – Adam wywraca oczami. – Tajemnica spowiedzi. W życiu ci tego nie powiem.

Co za buc! Jedno pytanie możesz zadać, a ten nie chce odpowiedzieć. Ale spokojnie, spróbuję go podpuścić. Może się uda.

– Adam, a czy miało to związek z krymskim libertynizmem?

Twarz wieszczka nie zdradza żadnych emocji.

– Jakież morderstwo carskiego urzędnika?

Zero reakcji.

– Coś związanego z przypisywaniem sobie nienależnego herbu, o rodzie książęcym nie wspominając?

– Jakiego nienależnego? – cedzi Adam przez zęby. Niemniej po chwili znów ma twarz niewzruszoną.

– Hmm... a może rzuciłeś klątwę na nielubianego społecznika, który pocisnął ci za mocno za młodu, i coś się spełniło? Może to bluźnierstwo z gatunku zazwyczaj niewybaczalnych? Może jakieś heretyckie odpały twojego mentora miały tu coś do rzeczy? Może towiańszczyzna? – Wystrzeliwuję kilka pomysłów jeden za drugim.

Po chwili widzę, że na twarzy wieszczka pojawił się grymas. Ale przy którym z powodów? Już mam zacząć dociskać, gdy Adam sam się odzywa:

– No, dobra, dobra, to nieważne. – Uśmiecha się nerwowo. – Przejdźmy do kolejnej części z septalogii *Dziadów*. To będzie arcydzieło!

– Jak to septalogii? – pytam wzburzony.

– A więc słuchajcie – mówi Mickiewicz, ignorując moje zaniepokojenie.

I zaczyna opisywać koncept najbardziej epickiej gry paragrafowej, jaka kiedykolwiek powstała!

Ciąg dalszy, być może, dzięki tobie, nastąpi...

Przejdź jeszcze na chwilę [do §9 i zobacz, jakie postacie i przygody będą dostępne w grze.](#)

§ 6

– No, musiałem – odpowiada krótko. Patrząc na twoją minę, dodaje: – Muza kazała.

No tak, najłatwiej wszystko, łącznie z paskudną cechą własnego charakteru, zrzucić na jakąś bogu ducha winną muzę. Kiedy Adam widzi, jak razem ze mną na niego spoglądasz, i gdy czuje, jak napięcie rośnie, postanawia je szybko rozładować:

– No dobra, to nieważne. Przejdźmy do kolejnej części z septalogii *Dziadów*. To będzie niesamowite!

– Jak to septalogii? – pytam wzburzony.

– A więc słuchajcie – mówi Mickiewicz, ignorując moje zaniepokojenie.

I zaczyna opisywać koncept najbardziej epickiej gry paragrafowej, jaka kiedykolwiek powstała!

Ciąg dalszy, być może, dzięki tobie, nastąpi...

Przejdź jeszcze na chwilę [do §9 i zobacz, jakie postacie i przygody będą dostępne w grze.](#)

§ 7

– No, jasne, że wiem! – odpięra radośnie. – Cudownie! Ma rytm, słowa płyną, mogę pisać o zbieraniu grzybów w lesie, i nawet to bardowie z waszych czasów wkomponują w swoje pieśni! Nie było łatwo, ale musisz przyznać, że daje rewelacyjny efekt. Prawda?

Gdy wieszcz dostrzeża, że nie kwapisz się z potwierdzeniem jego słów, spogląda rozpaczliwie w moją stronę. Ale ja też nie zamierzam kłamać w obliczu wieczności spoglądającej na nas zza mgły duchowego zwierciadła. Napięcie rośnie. Adam postanawia je w końcu rozładować:

– No dobra, to nieważne. Przejdźmy do kolejnej części z septalogii *Dziadów*. To będzie niesamowite!

– Jak to septalogii? – pytam wzburzony.

– A więc słuchajcie – mówi Mickiewicz, ignorując moje zaniepokojenie.

I zaczyna opisywać koncept najbardziej epickiej gry paragrafowej, jaka kiedykolwiek powstała!

Ciąg dalszy, być może, dzięki tobie, nastąpi...

Przejdź jeszcze na chwilę [do §9 i zobacz, jakie postacie i przygody będą dostępne w grze.](#)

§ 8

Droga osobo czytająca, masz teraz jedyną i неповtarzalną okazję porozmawiać bezpośrednio z samym wieszczem. Możesz zadać jedno pytanie, ale nie biorę odpowiedzialności za to, co ci odpowie.

– Co oznacza przedstawiona w części III *Dziadów* tajemna liczba „czterdzieści i cztery”? – [§4](#)

– Z czego to spowiadałeś się w Paryżu, że ksiądz musiał się konsultować aż z papieżem, by udzielić ci rozgrzeszenia? – [§5](#)

– Na serio musiałeś tak cisnąć Słowackiemu po rodzicach w *Dziadach*? Koleś dopiero po tym cię znienawdził. Wcześniej był fanem! – [§6](#)

– Serio? Naprawdę musiałeś napisać *Pana Tadeusza* trzynastozgłoskowcem? Wiesz, jak to się teraz czyta!? – [§7](#)

§ 9

W części V *Dziadów* będzie można wcielić się w poniższe postacie

1. **Konrado-Gustaw** – atencyjny prawie-bohater narodowy.

Mocne strony:

- ✓ Może przemieniać się w upiora.
- ✓ Potrafi wysysać energię ze swojej ukochanej (o ile jest szczęśliwie zakochany).
- ✓ Dalece biegły w sztuce perswazji potocznie zwanej „branie na litość”.
- ✓ Nie lęka się śmierci (a przynajmniej tak wszystkim mówi).

Słabe strony:

- ✗ Histeryk.
- ✗ Zyskuje punkty obłędu, jeśli jest nieszczęśliwie zakochany.
- ✗ Ma słabość do mężatek
- ✗ Sporadycznie nękają go demony.

2. **Karolina Zann** – dzielna kobieta, której Konrado-Gustaw zawsze się wyplakuje, gdy kolejna mężata hrabina da mu kosza.

Mocne strony:

- ✓ Żelazna psychika.
- ✓ Odporność na manipulację.
- ✓ Biegłość w historii i językach starożytnych.
- ✓ Umie strzelić skutecznego plaskacza na otrzeźwienie.

Słabe strony:

- ✗ Jest kobietą w dziewiętnastowiecznym Królestwie Polskim (kongresowym).
- ✗ Racjonalistka (w dobie romantyzmu...).

3. **Nowosilcow** – rosyjski hrabia, kontrwywiadowca, carski tropiciel polskich spisków.

Mocne strony:

- ✓ Wysoka pozycja społeczna.
- ✓ Umie się ustawić w każdej sytuacji.
- ✓ Nie krępują go zasady moralne.

Słabe strony:

- ✗ Głupek.
- ✗ Menda.
- ✗ Kanalia.
- ✗ Carski wazelinarz.
- ✗ Ch...

Musiąłem przerwać dalsze pisanie. Adama tak poniosło, że ze złości wyleciał ze zwierciadła.



Rozpoczęła się seria dzikich wrzasków, pełnych staropolskich i rosyjskich przekleństw, której towarzyszyło trzaskanie szafkami w kuchni, pęknięcie stojącego przy moim materacu kubka i spuszczenie wody w toalecie (to ostatnie chyba przypadkiem).

– Adam, Adam, spokojnie, wystarczy... oddychaj... – Próbowałem uspokoić go, jak tylko umiałem, ale dawało to mizerny efekt.

Kiedy najwyraźniej emocje wieszczą opadły, wsiąkł z powrotem w zwierciadło. Po dłuższej chwili pełnej strojonych do mnie różnych wersji groźnych i obrażonych min (jakbym to ja mu kazał pisać o Nowosilcowie, a nie on mnie!) w końcu zadartł wysoko podbródek, wypiął pierś i ponownie zaczął dyktować:

4. Guślarka – najlepsza adeptka (ludowej) wiedzy tajemnej we wsi.

Mocne strony:

- ✓ Genialna znajomość ludowej nekromancji.
- ✓ Wysoki skill w ziołolecznictwie.
- ✓ Szacun na wsi.

Słabe strony:

- ✗ Wierzy w szalone teorie spiskowe.
- ✗ Zmarli przychodzą do niej nawet wtedy, gdy nie są proszeni.
- ✗ Nie lubią jej księża.

A jeśli zastanawiasz się, co się stało z Guślarzem...

No właśnie:

Jeżeli [uda nam się zebrać 18 000 złotych na druk tej książki](#), gra powstanie i wyjaśnienie tej zagadki będzie twoim zadaniem.

Guślarz został brutalnie zamordowany i pochowany trzy niedziele temu... ale niektórzy mówią, że ciągle widać go chodzącego nocą po wsi. To pewnie głupie wiejskie gadanie, ale... może ma jakiś związek z tym, że ludzie w powiecie wiłkomierskim zaczęli zapadać na dziwną chorobę i padają jak muchy?

Kto go zabił? Dlaczego? Co dręczy ludzi z okolic Wiłkomierza?



POMÓŻ NAM WYDAĆ TĘ KSIĄŻKĘ
(i ZAKLEP EGZEMPLARZ DLA SIEBIE)



400 paragrafów sążnistej rozrywki pełnej niespodziewanych zwrotów akcji. Fabuła oparta na prawdziwym polsko-litewskim folklorze i ludowej demonologii.

📄 <https://wspieram.to/dziady>

Copyright © by Mikołaj Kołyszko

Opieka redakcyjna: Rafał Czech

Adiustacja: Pracownia 12A

Ilustracje: Ilona Myszkowska, chatolandia.pl

Projekt okładki: Ilona Myszkowska, chatolandia.pl



www.otwarte.eu

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

BENIAMIN MUSZYŃSKI

UTOPIA



Z KOMIKSAMI ZVYRKE LATO TRWA WIECZNIE

ZVYRKE.SELINO.PL FB.COM/ZVYRCOMICS

INSTAGRAM.COM/ZVYRKE



(LUB WYSZUKAJ „ZVYRKE” NA GILDIA.PL)

PARTNERZY



MAGAZYN
BIAŁY KRUK



Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

